

Zeszyt drugi. Rocznik V. — 1872.

BOŻA OPIEKA.

POWIEŚĆ OSNUTA NA PODANIACH XVIII. WIEKU.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Nazajutrz spodziewano się, iż chłopiec gdzieś wypłynie... ze dworu wyszły rozkazy, aby go natychmiast pojmać i dostawić... Janek się nie ukazał. Z południa Hruzdzina, która miała swoje zapasy grosza zebranego ze sprzedaży cebuli i jaj w mieście, powydobywała z węzełków, gdzie co było, i oznajmiła mężowi, iż musi pójść na drugi prądnik, po jakieś motki. Stary na nią popatrzał, jakby się czegoś domyślał, ruszył ramionami i nie odpowiedział nic. Dodał tylko po chwili: — No, a co z Jankiem się stało? co będzie, myślicie?

— Albo ja wiem — odparła żona.

— A jużciż cobyście nie wiedzieli! — rzekł stary — przecież wam był miły, a mówicie tak obojętnie, jakby to wam wszystko jedno, że w wodę wpadł. To już nie może być. Ot, ja wam powiem, niech powraca, niech chłostę przyjmie, bo na nią zasłużył... i po wszystkiem...

Hruzdzina ruszyła głową, westchnęła. — Co ja wiem, nic nie wiem! Chłopiec się bić pewnie dać nie zechce... pójdzie w świat.

— A no, ja mówię — dodał Hruzda — że szkoda by było, skóra mu nie zlezie, jak go rózgami osmalą. Co to on lepszego od drugich? albo nas nie prażyli... i nic się nie stało. Pójdzie to na łajdaka, włóczęgę lub na zbója się wykieruje.

— Coż wy to mnie mówicie — odrzekła Hruzdzina — albo ja to wiem, gdzie go szukać i mam go namawiać?—

Chłop się rozśmiał. — Myślicie — szepnął — że ja taki głupi? a dalipan, nie. Ta idźcie z Bogiem.

Hruzdzina przyodziawszy się, a węzełków nabrawszy pod pozorem, że przędzę niesie, potoczyła się do kumy Malichowej. W chacie zastała tylko staruszeczkę jej matkę, wszyscy byli w polu. Stara na nią ode drzwi mrugnęła, aby do alkierza szła. Tam siedział Janek i płakał trochę. Zamknęły się drzwi, i przybrana matka długo siedziała z sierotą, a co radzili i uradzili, nikt nie wiedział i nie słyszał. Nazajutrz przyszedł klecha na prądnik, znowu szeptali, kartkę przyniósł jakąś, i z południa Janek pożegnawszy Malichowę, wyszedł, nikt nie wiedział dokąd...

Przez całych dwa czy trzy dni czujność we wsi była niezmierna, żeby Janka pochwycić. Włodarz i karbowy po razy kilka wpadali do chaty i trzęśli ją aż do wyżek, szukając koniecznie zbiega... Sam pan napotkawszy Hruzdę zagroził mu surowo, jeżliby dziecka nie wydał. Wszystko to nie pomogło, Janka nie było i nie było... gwiew też powoli wolnieć zaczął, i zapomniano o nim potroszę. Hruzda tylko o niego się dopominał u żony, bo choć, póki był, znęcał się nad nim, gdy go nie stało, poczęło mu braknąć chłopca. Bez najemnika obyć się nie było podobna, w chacie jakoś zaczęło smutno bez dziecka wyglądać, i dopiero teraz stary się przekonał, jak on wiele robił, choć go nie było widać. Nalegał więc na żonę, ta płakała, ale Janka nie wiedziała już kędy szukać.

— Co prawda to prawda — rzekła — wiem że uciekł, bo się nie chciał dać osiec niesprawiedliwie, ale żebym miała wiedzieć, gdzie teraz jest... to nie. Zresztą kocham ci go jak matka i chciałabym go tu mieć, ale on pono do naszego życia nie stworzony, czemu nie ma sobie po świecie szczęścia szukać?

Dość że głupi Janek znikł, i wszyscy ci, co nań podszczuwali, teraz żałowali i tęsknili po chłopięciu; nawet panicz, któremu czuba natarł, gotów był swoję krzywdę przebaczyć... bo i jemu Janka brakło...

Janek wpadł jak w wodę. Domyślano się wprawdzie, iż najprędzej do blizkiego Krakowa powędrować musiał; a no w mieście takiem, między mnóstwem żaków a młodzieży, ktoby go tam miał szukać.

W owe czasy Kraków był przepełniony ubogą młodzieżą, która w nim nauki a przez nią drogi do dalszego życia szukała. Szkoły otwarte dla wszelkiego stanu, choć świetności dawnej nie miały, bo już za Zygmunta Augusta na upadek ich narzekano, czegoś przecie nauczyć mogły. Nauka inaczej jak dziś się udzielała, inaczej nabywała, inaczej bo samodzielniej doprowadzała do wyższego wykształcenia. Dzisiaj metodycznie karmią nią instytucye tak urządzone, że gdy z nich wychodzi skończony młodzieniec, nie pozostaje mu już nic do czynienia, tylko tego, co nabył, używać. Szkoła dawniejsza, ułomna, niedostateczna, dawała początki, pojęcia pewne, wskazywała drogi, a człowiek o własnych siłach z tego sobie coć na pożytek swój musiał wyciągać i z rozpierzchłych promyków a błysków światło tworzyć. Komu sił nie stało, aby samoistnie szedł, ten na pół drogi stanął i dalej już ani się postępować kusił. Fantastycznie czerpano naukę... a zaczerpniętą urabiał każdy wedle swojego smaku... Wyjąwszy nauki matematyczne, gdzie po linii iść i obliczać swe kroki musiano, w innych umysł bujał swobodny, bo na doświadczeniach się nie opierając, fantazyi skrzydła przypiąwszy, mógł sił swoich spróbować... Wprawdzie OO. Jezuici srodze ciekawość karcili i hamowali śmiałków... lecz umysł ludzki z więzów się tych nieustannie wyrywał... Akademia krakowska przed ostatniemi reformami, które ją na nowe drogi pracy wprowadzić miały, wegotowała raczej niż żyła, lecz jak wszędzie w pośród uspionych i zacofanych, jeźli nie było ludzi wyjątkowej energii ducha i jasnowidzenia, coby drogi nowe wskazać potrafili, znajdowali się tacy, co mieli przeczucie przyszłości i czuli, że inaczej powinno było być niżeli było w istocie.

Do tych to ludzi należał profesor fizyki ówczesnej, z której dziś tylko imię pozostało, ks. kan. Nereusz Hodowski.. który uchodził pomiędzy swymi za nieznośnego przekorę, za umysł niespokojny, za człowieka orthodoksii podejrzanej; chociaż w życiu prywatnem był łagodny jak baranek i nie miał tych wad, które utrudniają społeczne stosunki.

Znano tę figurę w wyszarzanej starej rewerendzie i zrudziałym kapeluszu, z jednem ramieniem niższem od drugiego, w całem Krakowie. Na ciele wychudłem i skrzywionem, głowa pochylona w dół, wyłysiała, siwa, z twarzą pomarszczoną i żółtą, z oczyma jakby wyblakłemi i potrącemi gdzieś w inne światy, z ustami dziwnie zfałdowanemi tak, że ich uśmiech można było wziąć za skrzywienie, a grymas za uśmiech — stanowiły zabawną w istocie karykaturę, łatwą do odrysowania dla studentów najmniej nawet mających talentu. Obyczaje ks. Hodowskiego równie dziwne były jak postać. Miał on małą kamieniczkę przy Wiślnej ulicy, o trzech oknach, a nad nią mało co więcej. Na dole jej mieszkał szewc, który mu najczęściej butami za najem płacił, pierwsze piątro zajmował kupiec, Niemiec, który dopiero handel rozpoczynał i od niedawna się był osiedlił w Krakowie, drugie ks. kanonik dla siebie zostawił, a poddasze służyło za skład i schronienie ubogiego ucznia jednego lub dwóch, którzy księdzu posługiwali, i których on się losem zajmował. Stara kucharka milcząca gotowała jeść po spartańsku... razem dla Hodowskiego, dla siebie i dla żaków.. Ks. profesor miał od ulicy dwa pokoje, a trzeci od dziedzińca, oprócz tego ciemny kąt na książki... i to mu starczyło. Sypialna izba znajdowała się od wnętrza domu, w dwu pierwszych była izba gościnna, rzadko kiedy otwierana, i pokój, w którym kanonik pracował. Ten właściwie był całem jego schronieniem, gdyż tu stary całe dnie przepędzał, a często i dobrą część nocy. Tu nikomu wchodzić, ścierać, ani porządkować nie było wolno... a wychodząc choćby na krótko, kanonik starannie drzwi na klucz zamykał. Oprócz ogromnego stołu zarzuconego książkami, ściany całe zajmowały pułki pełne, a że i one pomieścić nie mogły foliantów i papierów, wiele ich spoczywało na ziemi wszędzie, tak tylko ułożonych, ażeby przejście pomiędzy niemi i ścieżki wolne zostały... Wszystko to odwieczny pył pokrywał. Wysiedziane krzesło staroświeckie jedynym było sprzętem, mającym tu prawo obywatelstwa. Izba gościnna wyglądała nieco przyzwoiciej, ale i w tej uczonego czuć było. Kanapa, krzesła, stół, komoda, przynajmniej stuletnie... ubierały ją potroszę... Był pomiędzy oknami krucyfiks wielki, który mieszkanie duchownego zwiastował... zresztą na ścianach zamiast obrazów porozwieszane były mapy, a okazy mineralogiczne, konchy i różne osobliwości natury ubierały pułki i zastępowały ozdoby i fraszki. Tu pod pewnemi warunkam przystęp gospodyni był dozwolonym i otarcie pyłu, w zasadzie przyjęte, ulegało wszakże w wykonaniu wyjątkom ze strony kanonika, który obawiał się uszkodzeń, i ze strony gospodyni, która nie miała wielkiej ochoty robić tego, za co jej nikt nigdy Bóg zapłać nie powiedział. Do tej też izby mało kto kiedy zaglądał. Sypialnia ascety nie byłaby skromniejszą nad komnatkę dla spoczynku ks. kanonika; łóżeczko w niej stało ciaśniutkie, wązkie, mnisze;

miska, dzban, lichtarz z umbrelką...Był i klęcznik z brewiarzem... i stoliczek z innemi książkami, bez których Hodowski żyć nie mógł. Wszystko to skromne, ubogie, stare, biedne i liche, służyło od niepamiętnych czasów... i nigdy poczciwy profesor żadnej wygódki dla siebie nie uczuł potrzeby. Za to ostatni grosz gotów był podzielić z ubogim, szczególniej ze studentem, gdy dostrzegł w którym umysł żywy i miłość pracy, a dar szczególny. Litościwym ci był i dla ubogich na duchu, bo serce miał dobre, ale zajmował się najchętniej losem tych, w których zdało mu się, że jeniusz odkrywał. U ubogiej młodzieży kanonik był w poszanowaniu wielkiem, chociaż do zbytku jej nie pieścił. Surowy dla siebie, młodym to zalecał za prawidło, żyby rogóm rosnąć nie dopuszczali, żeby ciało opanowywali, a pielęgnowywali ducha. Dawał jeść, ale przysmaczków nienawidził.

Człowiek to był z tego tylko, co o nim opowiadamy, znany, zresztą nikt się nie dopytał, co w jego duszy się działo, i krążyły o nim najrozmaitsze zdania. Mieli go jedni za uczonego bardzo i filozofa, drudzy za dziwaka i marzyciela, inni za pedanta, za mistyka jedni, za niedowiarka drudzy. Dowiedzioną było rzeczą, że ktoś u niego dykcyonarz filozoficzny Voltairèa najrzał w sypialni; wiedzieli wszyscy, iż z katalogu prohibitorum obficie czerpał. Pewną też było rzeczą, że się czasem do łez rozrzewiony modlił, a uczynkami miłości nauki Chrystusowej dowodził. Tymczasem w rozmowie trafiało mu się takiem zdaniem bryznąć niekiedy i szyderstwem, jakby w nim sam najstarszy szatan siedział. Gorszono się też jego sceptycyzmem, bo często gęsto wyrwał się z tem, iż człowiek nie wie z pewnością nic więcej nad to, iż nic nie wie....

Takim był ks. kanonik Hodowski, który że do żadnych nigdy dostojeństw akademickich nie aspirował, a mimo ubóstwa polepszenia bytu swojego nie pragnął, i nikomu nie zawadzał, znoszono go chętnie... Szanowano w nim też naukę i obawiano się jej, bo gdy kto z niepewnem zdaniem się wyrwał, nielitościwie zniecierpliwiony chłostał... Ks. Hodowski miał z całej rodziny jednę tylko siostrę zamężną za rządcą dóbr pańskich w Krakowskiem, która go rzadko odwiedzała, bo się po nim nie wiele spodziewać mogła. Żył zresztą samotny, z książkami swemi, z pauprami, z ubóstwem; a że nikt jego i on nikogo nie szukał... oprócz w kościele, w kollegium i w ulicy lub na przechadzce w okolicy, rzadko go zabaczyć było można... Życie jego upływało regularnie, jednostajnie, spokojnie... Drzwi przedpokoju zawsze zaryglowane; gdy kto do nich zastukał, otwierała mrucząc milcząca stara gospodyni, potem sama pukała do drugich od pokoju, w którym kanonik zwykł był pracować, ale te nigdy się nie odmykały. Przystęp do nich wzbroniony był profanom; ksiądz wstawał, wychodził do gościnnej izby i uchyliwszy jej drzwi, gościa do niej wprowadzał.

A choćby najmocniej był zajęty i najczęściej mu przerywano, nigdy nikomu posłuchania nie odmówił.

Było właśnie południe jednego dnia jesieni, gdy do mieszkania zapukano; gospodyni poszła nie rzuciwszy marchwi, którą skrobała, otworzyć. W progu stał klecha, zarazem będący organistą i nauczycielem szkółki w jednej ze wsi okolicznych. Był to dawny wychowaniec ks. kanonika, człek dobry, ale na którym przecież Hodowski się zawiódł, bo dalej nad klechę nie postąpił. Znała go gospodyni pauprem jeszcze, i nic nie odpowiadając na pozdrowienie, poszła do drzwi zapukać; po chwili ks. Hodowski otworzył gościnny pokój i w ciemnej sieni począł się przypatrywać przybyłemu.

— A! to wy, panie Grzegorzu? A no chodź — rzekł — co cię tu przygnało?..

Klecha pocałował w rękę kanonika i wsunął się kłaniając... Niech będzie pochwalony.

— Ty wiesz kochanku, że ja nigdy czasu nie mam — dodał Hodowski — mów a nie bałamuć. Ars longa, vita brevis.

— Ja to za sierotą do dobrodzieja... ale to cała historya.

— Cóż ty chcesz?

— Jak w dym idź, o pomoc dla biednego chłopca.

— Cóż to tam za chłopiec...

— Sierota i biedota...

— Mało sierót na świecie... a zdolny? — spytał kanonik.

— O ile ja mogę sądzić, to bardzo, bardzo — rzekł klecha... Nic nie umie, ale taki umysł świdrowaty.

— Hę? świdrowaty? hę?—rozśmiał się profesor—jak ty to mówisz? hę? zkąd ty to wziął? dalipan... Świdrowaty !!.. świderliwy!!.. świdrujący!!.. jak sobie chcesz, dosyć żem cię zrozumiał... Świdrowaty twój... co zacz? co zacz?

Klecha westchnął... Kiedy bo to by długo gadać potrzeba... a inaczej to ksiądz kanonik mnie nie zrozumie...

Hodowski ruszył ramionami, cofnął się od progu do pokoju gościnnego, usiadł na krześle zaraz przy drzwiach i z rezygnacyą ręce złożywszy, czekał na opowiadanie klechy.

— Lat temu dziewięć, nieznajomy człowiek dziecko, jakoby sierotę przywiózł na prądnik i u włościanina zostawił. Wzięli go dobrzy ludzie, jakby za własne, bo się więcej o nie nikt nie upomniał... I byłby może chłopiec tam przy nich pozostał... gdyby nie to, że się przygoda nieszczęśliwa trafiła. Panicz ze dworu bawić się chciał z sierotą, a że to dumne licho, dzieci się powaśniły i chłopskie uderzyło... panicza... Skazano je na rózgi... więc uciekło...

— Tak, a ty chcesz, żebym ja tu takiemu wisusowi dał przytułek — rzekł kanonik... To taki ten twój świdrowaty! Ho! ho! świdrowaty! A toć on nic nie umie...

— Jam go potroszę uczył, bo miał do tego okrutną ochotę, można powiedzieć, że łykał mi z ust słowa chwytając... I proszę księdza kanonika, takie to jakieś osobliwsze

dziecko, że go nigdy uspokoić nie było można, zawsze pytał: dlaczego? Dlaczego to? a czemu to tak... bez końca...

— Świdrowaty! świdrowaty! — powtórzył profesor — a co ja z nim robić będę? Jeszczcze z takim duchem bestyją, że się poddać nikomu nie chce i paniczów po łbie tłucze! Dobry początek... Ale cóż to, to chłopskie dziecko, jak myślicie, czy...

Ksiądz nie dokończył i spojrzał, a klecha spuścił oczy.

— Już tego to wiedzieć nie mogę — rzekł — ten co go przywiózł, mówił jakoby chłopskie dziecię było, ale mnieby się to nie zdało... za delikatnie wygląda...

— Więc to to jeszcze może dziecię nieprawości jakiej i grzechu — odezwał się Hodowski.

— A cóż ono temu winno! — cicho ośmielił się bąknąć klecha.

— Masz asan słuszność — żywo podchwycił Hodowski — i cieszy mię, żeś to powiedział, bom asindzieja próbował... Dziecko nie winno wcale, a jeźli w istocie opuszczone... trzeba się niem zaopiekować... trzeba. Poczciwy jesteś, żeś do mnie przyszedł... Gdzież ono jest? gdzie!

— Od grozy dworu i kary potrzeba to było przychować, zrazu na wsi — mówił klecha — potem aż tu w mieście. Nie było komu dziecka dać... więceśmy je umieścili nie koniecznie dobrze, na Kleparzu w gospodzie na posługach u gospodyni, która garkuchnię trzyma.

— A pfe! — zawołał ksiądz — zgubilibyście dziecko! co znowu! gdzie! jak!! śliczna akademia, gdzie pijaków i włóczęgów na oczach mieć będzie. Dawaj że mi go tu i o resztę się nie troszcz... Jeźli świdrowaty, ja mu dam co świdrować, ale chłopca, co paniczów czubi, trzeba w ryzę wziąć, bo z taką naturą łatwo na szubienicę zajdzie...

Klecha wstał po skończonem opowiadaniu, księdza w rękę pocałował i zabierał się odchodzić.—Ależ bo czekaj— rzekł Hodowski. Stancyą na poddaszu znasz... a tam teraz nikogo nie było, pustki... stara Maciejowa może od pół roku do niej nie zajrzała, kazać jej oporządzić, to dwa tygodnie będzie gderać nim się zbierze. Ale czekaj!.. Weź ino miotłę w sieni... a ja klucze zabiorę i chodź ze mną,

Profesor suknię plączącą mu się ręką ujął, klucze z kołka zdjął... klecha stary miotłę, jakby tu wczoraj był, znalazł prędko, i oba wyszli spiesznie, a Maciejowa mrucząc tylko głowę za nimi wyściubiła z kuchni i pokiwała nią, zobaczywszy, że kluczów na kołku nie stało. Zrozumiała zaraz, co się święci, i że jedna gęba do karmienia im przybędzie. Wprawdzie chłopcem takim zwykła się też była posługiwać potroszę, na co ksiądz przez szpary patrzał. Kanonik tymczasem z klechą po wązkich a ciemnych wschodkach wdrapali się na poddasze... otworzono izdebkę, w której pająki wygodnie tkackie swe roboty poosnuwały... Mała była, ciasna, zapylona, z łóżeczkiem zbitem z kołków i tarciczek, ze stołem o półczwartej nodze, i stołkiem kulawym. Lecz Hodowski, który dla siebie wiele nie wymagał, zwykł był wychowańców hartować... Był tu rodzaj piecyka wiele nie obiecującego... a okno światła dawało tyle, ile go ściśle było dla studenta potrzeba.

— Otwórz okno, niech powietrze wejdzie — zawołał kanonik — i trochę przymieść trzeba.

Klecha zrzuciwszy pychę z serca, zamiatać począł... nikt go nie widział. Hodowski znalazłszy podarty papier użył go do ścierania, opatrzył kąty wszystkie...

— Jeszcze tu nie jest tak źle — szepnął — jak myślałem. A młodość! ho! ho! dla niej to parada! Chłopiec ze wsi, wszakci w szopie i na wyżkach sypiał. Parada! parada!! Czego mu ma źle być!..

— Będzie doskonale! — dodał klecha.

— Ale pewno! młodość! młodość! mościdzieju — rzekł profesor — jak król Midas wszystko, czego dotknie, w złoto obraca... Siana albo słomy Maciejowa się postara... Siennika wiem, że już nie ma, ale się obejdzie; nakryć... no! nakryć czem dam... Dzbanek do wody jest ten, któremu nos utłukli... ale bez niego się też posłużyć może... miskę kupię.. Ot i cała ceremonia... Hę?

Klecha skończywszy zamiatanie głową potwierdzał tylko...

— Przyprowadźże chłopca, wszystko gotowe — rzekł Hodowski — tylko słuchaj, nastrasz go dobrze, żem srogi, żem bardzo srogi, aby znał m o r e s. Niech przyjdzie z tem wrażeniem... rozumiesz, że srogi jestem... Druga rzecz...

Kanonik przerwał i kiwnął głową.—Resztę ja mu sam powiem... tylko go przyprowadź...

Klecha znowu w rękę pocałował staruszka, miotłę zabrał, aby ją odnieść na miejsce, bo Maciejowa nie znosiła nieporządku, i zeszli tak nadół... milczący... Kanonik odprawił dawnego wychowańca, a sam wrócił do książek.

Już było kilka dni upłynęło od zniknięcia Janka ze wsi, i wieść o tym wypadku rozeszła się po okolicy, a zrobiono z niej historyą, bo dodobne rzeczy łatwo się zwiększają i rozchodzą pomiędzy włościanami, gdy w nich tkwi coś przeciw dworowi i panu. Opowiadano więc dramatycznie scenę panicza z chłopakiem, i gniew pana, i znalezienie się Hruzdzinej, i jak zręczne chłopię z rąk się oprawców wyśliznęło. Nie potrzebujemy dodawać, że współczucie między włościanami było dla owego biedaka sieroty... po dworkach też nieprzyjaźnych szlachcicowi wyśmiewano się z jego bezsilnych gniewów, zrobiono z tego powieść wcale zabawną, którą przy każdej zręczności sąsiad sąsiadowi podawał, tak że się niemal w całem Krakowskiem rozleciała. W gospodach przy kieliszku śmieli się ze szlachcica włościanie, że mu chłopskie dziecię tak się dzielnie oparło; po dworach ze zgrozą opisywano, czego się to już dopuszcza rozzuchwalone chłopstwo... żydkowie anegdotę przy-

nosili razem z cielęciną do panów, po miasteczkach prawiono o niej na targu, zwyczajnie jak gdy ludzie nie mają nic lepszego do roboty, a na plotki się łakomią.

Byli nawet tak ciekawi badacze, że zachodzili do chaty Hruzdów, aby się o prawdzie dowiedzieć. Stary gospodarz zbywał ich markotno, półsłowy i milczeniem, a gospodyni z płaczem rozpowiadała o swym kochanym Janku, jakie to było chłopię poczciwe, roztropne, pracowite, a że się krzywdzić i urągać sobie nie dało, to może iż czuło lepszą krew w sobie, a młodzieńcza też buta była wymówką.

Hruzda bodaj czy nie żałował pomocnika na równi z żoną, ale milczał. Jednego tedy dnia, gdy blizko domu pracując na obiad zabiegł do chaty, a właśnie zasłociło się i już na rozpogodzenie potrzeba były czekać, zaturkotało przed bramą; Hruzda wyjrzał schyliwszy się przez nizkie okienko i zobaczył wózek parokonny, który się przed chatą zatrzymał... Woźnicy widać nie było. Hruzdzina podawszy obiad właśnie wyszła do dworu za jakąś sprawą, gospodarz sam pozostał w chacie... Drzwi się otwarły i mężczyzna okutany płaszczem siwym wtoczył się do izby... Twarz miał zasłoniętą kapeluszem szerokim.... ale uderzyło to Hruzdę, że na nogę napadał. Gdy z głowy zdjął przykrycie, pokazał się nie młody, wysiwiały już, ale tenże sam człek nieznany, który przed dziewięciu laty Janka przywiózł i więcej się on nie dowiadując porzucił. Hruzda jeszcze się wahał, gdy ten pozdrowił go od progu i począł:—A cóżeście to mnie nie poznali ,czy co?

Hruzda ramionami ruszył. Albośmy to znajomi? — rzekł umyślnie — ja was nie znam.

— Jakto? — zawołał szlachcic — jamże to przecież ten sam, com wam dziecko tu dziewięć lat temu na wychowanie oddał!

— A no, a co! — rzekł Hruzda. — Dopiero po latach dziewięciu przypomnieliście sobie to, a mieliście przecież co roku płacić i ordynaryą dawać... a myśmy ani pieniędzy, ani zboża dziewięć lat nie widzieli.

Szlachcic się za trzos pochwycił, który u pasa miał zawiązany. — Miałem nieszczęście — rzekł — zapędziłem się do krewnych na Ukrainę, i tam mnie Kozactwo pochwyciło... miałem przygody straszne... Jam temu nie winien nic... Jak skorom się uwolnił, wnet oto podążyłem do was z pieniądzmi... zapłacę za wszystko...

Hruzda popatrzał się na trzos i poskrobał się w głowę.

— A gdzież chłopiec? — spytał szlachcic rozglądając się dokoła. — Na to pytanie stary nie wiedział co odpowiadać. Stęknął. — Wszak broń Chryste, nie umarł?

— E! żyje, żyje, nic mu się tam nie stało — odparł Hruzda — a no od kilku dni go tu nie ma, bo panicza naszego poturbował, chcieli go ukarać, a że dumna dusza, bić się nie dał i w świat poszedł. Długo to nie potrwa, tylko co nie widać jak wróci.

Nieznajomy koso spojrzał na mówiącego. — Ot to mi prawicie — zawołał — banialuki jakieś.

— Jak Bóg Bogiem prawda.

— Toć przecie wiedzieć o nim musicie?

— Ja nie wiem, moja to może tam co i wie.

Zamilkli oba... Hruzda poglądał na trzos, ale szlachcic dowiedziawszy się, że chłopca nie było, płaszczem go zakrył i już się z wypłatą długu nie spieszył.

— A gdzież wasza gospodyni? — spytał.

— Poszła na wieś.

— Poczekam chyba aż wróci — ozwał się siadając znowu nieznajomy — bo tak z niczem odejść nie mogę... muszę wiedzieć, co się z dzieckiem stało...

Hruzda poszedł do okna obojętny przypatrywać się, czy słoty nie przepędzi wiatr; ale lało ciągle strumieniami, a Hruzdzinej jakoś widać nie było.

— A jakże, z chłopcaście byli kontenci, czy nie? — zapytał po chwili przybyły — jakże wyrósł, czy pracował? czy niewisusowaty?

— Ja wam o nim nic dobrego nie powiem — mruknął Hruzda — jam go nie lubił... choć Bogiem a prawdą pracowity był i roztropny, przecie go ludzie przezwali głupim Jankiem...

— Dlaczego?

— Et! bo się zawsze dopytywał o coś, a wiedzieć chciał więcej niż drudzy... Zresztą... niczego chłopak, tylko hardy... o! bata mu było potrzeba, a baba go moja tknąć nie dawała. Cała bieda z tego poszła...

— Więc też ona może doradziła mu i ucieczkę, albo go sama schowała? — odezwał się nieznajomy...

Hruzda nie chcąc ani żony obwiniać, ani jej uniewinniać, ruszył ramionami. Obejrzał się po chacie, wyjrzał oknem i szepnął: — Kto ją wie, może baba i wie co o nim... to ją sobie pytajcie, przedemną się ona nie przyzna.

— A jak się wam zdaje?

— Mnie się zdaje, że to jej sprawa... bo dziecko jak własne kochała...

— No i dopomogła mu do ucieczki?

— A może — mruczał Hruzda — kto ich wie.

— Dokąd? jak sądzicie?

— Albo ja wiem... nic nie wiem... Przedemną żebym ją ubił nie powie.

Szlachcic się zadumał. — Poczekajmyż na babę — zawołał — przecie powrócić musi.

(Ciąg dal. nast.)

SZKICE MYŚLIWSKIE UKRAINY

Z NATURY PRZEZ

BERLICZA SASA.

I.

Legowisko myśliwych.

Szumią brzozy Helenowa [1]),
Ustępują nocne mroki,
Młodej zorzy pierś różowa
Krasi empirej wysoki;
Cudnym blaskiem step się pali
I dyamentów i opali,
I z łanów powiewnej fali
Zielonemi wiejąc flagi
Powstają archipelagi
Kniej i gajów oddalonych,
W szatę letnią przystrojonych.

Już w myśliwych legowisku
Wre czynność żywej ochoty,
Na łowieckiem bojowisku
Każdy chce laur zdobyć złoty.
Śliczna ruda! i bogata!
Za nią tuż, knieje nad knieje,
W lewo step do krańców świata,
W prawo lasu mur czarnieje.
To mi strona! byle wola,
Jest pohulać gdzie do syta!
Strzelać w kniejach i przez pola
Za chartami ciąć z kopyta!

„Ano — żwawo tam do licha!“
Pan Sarnecki swoim woła,
„Pogoda jasna i cicha,
„Wyprawa będzie wesoła.
„Opatrzyć troskliwie bronie,
„Strzelcom rozdzielić naboje,
„Psy podkarmić — poić konie,
„Każdy niechaj robi swoje,
„Tylko żywo!“ — Na te słowa
Zakipiało w legowisku,
Skoczyli, już broń gotowa,
Uzdeczki u koni w pysku,
Siodła kozackie na grzbiecie,
Popręgi tęgo podpięte,
Grzywki w kosy zawinięte,
(Tak się wodzi, sami wiecie).
Wsławione w knijach i borach,
Skomlą gończe psy na sforach,
Polotne charty na smyczy
Chciwie czekają zdobyczy;
Wszystkie rusznice nabite,
Strzelcy piją okowitę,
Zakąsują — a panowie
Golą starką swoje zdrowie.
Pietryk pośpiesza z bigosem,
Jasiek z kiełbasą pod sosem,
Iwaś niesie kluski z serem,
Walenty bieży z porterem.
U myśliwych dzielne brzuchy,
Więc nie dziw, że wszystko zjedli;
Myśliwi, prawdziwe zuchy,
Jednym susem na koń wsiedli;
U każdego w gębie fajka,
Przez plecy strzelba, nahajka,
Wyraz twarzy i duch chwacki,
A do tego wąs sarmacki.
Pomknęli się — ztyłu wali
Horda strzelców, najeżdżaczy;
Gdy do rudy dojechali,
Rozmieścili się inaczej;
Zleźli z koni — w rozdół zbiegli,
Tam się łańcuchem rozbiegli,
I nad rudą, za krzakami,
Ukryli się ze strzelbami.
Dojeżdżaczy skierowano
Pod wiatr rudy (taka moda),
Ztamtąd puścić psy kazano,
Skoro trąbka hasło poda.

Nie ma gwaru, cicho, głucho,
Jedne szeleszczą komysze;
Natężone wszystkich ucho,
Usta milczą, pierś nie dysze.
Lecz tej ciszy koniec bliski,
Wkrótce z niej burza wypłynie,
Śmiertelne wylecą błyski
I niewinna krew popłynie.

Już Sarnecki w róg uderzył,
Uderzył raz, drugi, trzeci,
Każdy broń swoję wymierzył,
Bada, czy zdobycz nie leci.
Czeka strzelec chciwy mordu;
W tem zdaleka doń dolata
Najcudniejsza z muzyk świata,
Muzyka gończych akordu.
Fagot, basem rej prowadzi,
Gracz, zawodzi barytonem,
Lutnia, rączo za nim sadzi
Łagodniejszym skomląc tonem,
U Żmijki czyste soprano
Rośnie w forte, spada w piano,
Różnych ładów brzmi odgłosem
Z ochrypłym Zagraja głosem.

Kipi ruda psów pogonią,
Krzykiem, trzaskiem harapnika,
Żywo, zgodnie, raźnie gonią.
„Pilnuj! pilnuj!“ — lis pomyka.
Wzięli na cel, zwiedli kurki,
Dym wybuchnął, strzał wypada,
Pudło! — Sarnecki z dwururki
Poprawił i lis upada.
Dwa ich jeszcze padło, czwarty
Z oczeretu smyk! na pole;
Ktoś zawołał: — „Puszczaj charty!“
Skoczyły charty sokole,
Lis przebiegły co tchu sadzi,
Kitą w polocie wywija,
To się jak strzała odsadzi,
To się skręca i uwija;
Radby — (patrzcie, figlarz jaki!)
Dopaść kniei, skryć się w krzaki,
Albo zaczaić się w jarku,
Lecz psy siedzą mu na karku!
Kusa rada! panie lisie!
Nie trać chwili, naprzód pchniej się!
Źle się dzieje! źle! śmierć blisko!

Wykręcił się biedaczysko!
Nagłym zwrotem nazad skoczy
Chartom w same prawie oczy.
Nim polotem uniesione
Zmieniły kierunek one,
Nim szczwacze figla dojrzeli
I zwrócić konie uśpieli,
Lis, nie w ciemię bity, skory,
Pchnął się dziarsko, wpadł do nory,
Gdzie szydząc z psów i z paniczów
Myślał: „Piszcie na Berdyczów!“

Oto zakpił! gracz ni słowa!
Jak nie pyszni powrócili
I nad rudą Helonowa
Znowu się w krzaki ukryli.

1) Tutor nad obszerną rudą. Zwykłe nasze myśliwskie rendez vous. Leży blisko Lipowca na Ukrainie.

II.

Pan Jenerał Kozłowski przybywa.

Aż tu patrzą, od Zozowa
Jakaś banda jedzie nowa:
Pacholiki, dojeżdżacze,
Strzelcy, kozaki, i szczwacze,
Jedni konno, drudzy wozem,
Ciągną tu z całym obozem.
Psów gromada, ludzi wiele,
I sam Kozłowski na czele.

Nestorem łowieckiej sztuki
Oddawna on u nas słynął,
Ciasne teorye nauki
Obszernie czynem rozwinął;
Na pierwszy rzut oka zgadnie,
Ile jaka knieja warta,
Zarówno oceni snadnie
Miot gończego, albo charta.
Jak? i kiedy iść na łowy?
Jaka miejscowość po temu?
Jakie miewa zwierz narowy?
Najlepiej wiadomo jemu.

Skoro się tylko dowiedział,
Że się bój na rudzie toczył,
Stary w miejscu nie usiedział,
Porwał się, z siebie wyskoczył,
Krzyknął aż szyby zadrzały:
„Żwawo! żwawo! nabić bronie!
„Psy na wozy! siodłać konie!
„Przybór myśliwski wziąć cały!
„Na to dziesięć minut daję!
Inaczej, wyrznę nahaje."

Znali jego, więc skoczyli,
W moment wszystko przyrządzili,
I już pański koń gotowy,
I puścili się na łowy.

Po nad rudą ze strzelcami
Kozłowski wziął stanowisko;
Szczwacze zostali z chartami
Na wzgórzu od rudy blisko,
I rozkaz im taki dany:
Żywcem wilk ma być pojmany!
Kto upuści, weźmie baty,
Kto go złowi, dwa dukaty.
Taki zwyczaj był w Zozowie,
Kto pamięta, niechaj powie.

III.

Kozak Taras goni wilka.

W oczerecie gwałt i wrzawa,
Ciągle puka strzelców ława;
To zajączek biedny padnie,
To wilk, albo lis przebiegły.
Słowem, łowy szły paradnie!
Liczne ofiary poległy.

Nagle, „pilnuj!" — zawołano,
Pilnuj! przebiegło po ławie;
Lufy w rudę skierowano,
Wytężono wzrok ciekawie.
Aż tu ogromne wilczysko
Cwałem z komyszów wypada;
Śmierć przewąchał biedaczysko,
Niebezpieczeństwo nie lada;
Więc się kopnął gdyby z procy,
W step ucieka z całej mocy.
Ćmią się dymy, gęste strzały
Gradem się nań posypały,
A on dalej, dalej zmyka,
Nogami ziemi nie tyka.
„Pilnuj!" krzyknął Kozłowskiemu
Ktoś, „a rznij go Jenerale!"
A Kozłowski rzecze jemu:
„Strzelać ja nie myślę wcale!
„On mój będzie, ale żywy!
„Takie, moi, tworzę dziwy."
Po tych słowach, cud nad cudy!
Starzec susem skoczył z rudy:
„Na smycz charty!" — krzyknął — „anuż!
Marsz za wilkiem! a huż! a huż!"

Taras, Kozak, batem świsnął,
Uciął piorunem z kopyta,
Nachylił się, konia ścisnął,
Dół czy góra, ani pyta.
Czując bliski cios śmiertelny
Wilk ratunku w kniei szuka,
Lecz koń dzielny, Kozak dzielny,
Nie udała mu się sztuka.
Znowu stepem wilk umyka,
Taras goni, za Tarasem
Horda myśliwych pomyka
Z głośnym śmiechem i hałasem.
Sarnecki sadzi z Kozłowskim,
Śladem Tyszkiewicz
z Czarkowskim,
Lipowczyński z Pokrzywnickim,
Nie pomnę kto z Ulanickim;
Dalej tłumem dojeżdżacze
Z chartami na smyczy, szczwacze,
Dworskie fagasy, a ztyłu
Tentent, wrzawa, chmura pyłu;
Wiatr stepowy także goni
Chcąc być świadkiem tej pogoni,
Szumią burzany i trawy,
I z podziwu i z obawy;
Trzoda z paszy w dal ucieka,
Pies przeląkł się i nie szczeka;
Pastuch tak się zagawronił,
Że sopilkę z rąk uronił.
Ktoby myślał, że to horda
Wpadła czambułem od Krymu,
Że wysiecze ostrzem korda
Kraj, całunem zaćmi dymu.
Ale próżnej dość gawędy!
Nie o Tatarów nam chodzi;
Rzućmy raczej okiem, kędy
Przed Tarasem wilk uchodzi.
Przez gazę wzbitej kurzawy
Lśnią Napadowieckie stawy,
Zieleniejące lewady
Rozległej widno osady;
Cerkiew w dole, dworki wkoło,
I dumne niosący czoło
Od plebejskich chat na stronie
Pałac o greckim frontonie.

Wilk do sioła prosto wpada,
Taras za nim, za Tarasem
Pędzi wiejskich psów gromada
I tłoczy się lud z hałasem.
„A huż! a huż!" krzyczą chórem,
Wilk żyć nie chce bez swobody,
Zginie? mniejsza! lecz z honorem!
Staw na drodze, buch do wody!
Taras kozak batem świsnął,
Kolanami konia ścisnął,
Pchnął się, skoczył, plusnął, zginął
I w bryzgach piany wypłynął.
Jak delfin rozcina morze,
Koń odmęty stawu porze,
Rozpiera je, chwyta, garnie,
Gdy wilk siły traci marnie;
Ledwie dysze, język zwiesił
Bezwładny, mdlejący prawie,
Z trudem sunąc się po stawie
Cały się na nim zawiesił;
Uszy w wodzie, w wodzie oczy,
Pysk mu tylko tkwi nad tonią.
Taras żywo z konia skoczy,
Silną zbiega chwyta dłonią,
I już knebel pcha do paszczy,
Arkan zarzuca na szyję,
Płynąc wilka na brzeg taszczy,
Już wytaszczył i wilk żyje!

(Ciąg. dal. nast.)



PODCZAS BITWY.

Rysunek Martynowa.

Nad morzem i nad Dunajem.

PAMIĘTNIK WŁÓCZĘGI.

I.

(Adrianopol. Ciało dyplomatyczne i jego na Wschodzie znaczenie. Niedoszły pojedynek konsula moskiewskiego. Misya Zmartwychwstańców w Bułgaryi. Dzieje kozaków otomańskich. Sadyk pasza (Michał Czajkowski). Niektórzy z oficerów. Wyjazd do Konstantynopola. Spotkanie na morzu Czarnem.)

Że towarzystwo kolei, w którem pracowałem, zbankrutowało, w następstwie czego straciłem miejsce i nie odebrałem należnych a ciężko zapracowanych pieniędzy, to mnie nie martwiło. Emigrant nawykły już byłem do wybryków losowych. Nieraz zdarzyło się mi „siedzieć na wozie i pod wozem leżeć“, w pomyślnych wypadkach o jutrze nie myśleć, w złej doli z pewną dziecinną wiarą i nadzieją wyczekiwać zmiany na lepsze. Smęciło mnie głównie rozstanie się z Adrianopolem, a nie sądźcie, aby to miasto, sławne ongi jako pierwsza stolica turecka, a w 1827 roku traktatem moskiewskim, posiadało czary jakieś. Gdzież tam!.. Coś równie brzydkiego wyobrazić sobie niepodobna. Pod względem oświaty, Pińczów wyżej stoi, w elegancyi zaś Działoszyce nie ustępują. Towarzystwo, t. j. świat wielki, salonowy, stanowiło ciało dyplomatyczne, którego przedstawiciele (z wyjątkiem austro-węgierskiego) nie przeskoczyli stopnia wice-konsula, a wielu z nich ponosiło jeszcze z własnej kieszeni koszta łatania i polerowania od czasu do czasu państwowego sztandaru. Myślę, że mocarstwa europejskie niewiele liczą na usługi i zdolności tych panów, czem nawet tłumaczy się przysłowie: „głupi jak wice-konsul francuzki na Wschodzie“, i w czem utwierdza mnie wzgląd, że przedstawiciel Bismarcka w Adrianopolu nie znał niemieckiego języka, a nie chcąc wydatkować się na dragomana (tłumacza), w r. 1866 biegał z każdym odebranym papierem niemieckim do austryackiego konsulatu, prosząc o odczarowanie zaklętych hieroglifów. Bezinteresowność jednak honorowych, niepłatnych wice-konsulów nie pochodzi z pobudek przywiązania do polityki i wielkości państwa danego lub pychy własnej, lecz poprostu ze znacznych korzyści, jakie im na Wschodzie zapewnia tak zwane „prawo kapitulacyi.“ Dostojnik taki sprowadza taniej towary, wydaje paszporty, nadaje „protekcyą“ czyli osiadłego w Turcyi uwalnia od praw koranowych. Dosyć o tych panach; połowice ich stanowią ton. Ministrowa w Paryżu nie zadziera nosa tak wysoko, jak pani pod-konsulowa na Wschodzie lub Południu. Nietylko że sama krokiem nie ruszy się bez kawasa (a kawasem jest służący zwykle Serb lub Arnauta uzbrojony od stóp do głów), ale nawet piastunce z niemowlęciem na ręku ta zbrojna eskorta towarzyszyć musi. W kościele na pierwszem, na klucz zamykanem krześle; na przechadzce służba roztrąca kułakami publiczność, by niedoszłej Ekscellencyi zrobić miejsce. Ciało dyplomatyczne w dziwnie zastanowienia godnej zostaje harmonii. Urzędnicy: francuzki, moskiewski, austryacki, pruski, włoski, wzajemnie zapraszają się na obiady, w przykładnej zgodzie odbywają wycieczki, i trącając się poufale po ramieniu mówią żartobliwie: „I posądzają nas o jakieś różnice przekonań politycznych.“ Panie za to, w chwilach wolnych od wspólnych odwiedzin, plotkują się niemiłosiernie, ale to aż do udzielania pod sekretem wieści, iż konsulowa angielska ma romans z pewnym Grekiem i że mąż wiedząc o tem, od szczęśliwego kochanka pożycza pieniędzy.

Mimo przyrzeczenia, że o konsulach więcej mówić nie będę, muszę przytoczyć fakt jeden jeszcze, dowodzący wysokiego znaczenia tych panów na Wschodzie. Działo się to w r. 1868. Wice-konsul moskiewski przechadzał się ze swą małżonką; przyjętym obyczajem służba szła naprzód. Na błotnej ulicy zuchwały kawas strącił w kałużę oficera kozaków Polaka. Pokrzywdzony spytał dyplomaty: czy to z jego rozkazu? Moskal odrzekł: tak. Oficer wyzwał go na pojedynek, lecz konsul wyzwania nie przyjął, gubernatora (po turecku wali) zawiadomił: że zwija sztandar, zatelegrafował do ambasady w Stambule, a W. Porta wydała rozkaz przeproszenia Jewo Błagorodya!.. Było to w 1868 r., kiedy Turcya ufna francuzkiej przyjaźni otwarcie występowała z nieprzyjaźnią do Moskwy! Cóżby się to dziś stało?

Nie konsularnego przeto towarzystwa żałowałem i nie Zmartwychwstańców, którzy założyli swą misyą w Adrianopolu. O tych zakonnikach słówko. Założycielem ich był Mickiewicz. Do dzisiejszej nazwy w pierwszych czasach dodawali „Polscy.“ Mickiewicz w egzaltacyi religijnej i patryotycznej marzył o odrębnym, choć nie wyłamującym się z pod władzy papieskiej, kościele polskim. Owa egzaltacya, to po tylu bolesnych dla wrażliwej duszy zawodach szukanie odrodzenia ojczyzny na drodze religijnej, popchnęła go poźniej w objęcia towianizmu, z którego na krótko przed śmiercią się otrząsł. Pierwszymi, którzy weszli do zakonu, był wielkiej zacności i odwagi kapitan artyleryi w r. 1831 I. Kaczanowski, raniony w tem powstaniu dziś przełożony H. Kajsiewicz, autor pamiętników o powstaniu na Ukrainie Al. Jełowiecki i najznakomitszy podobno teolog rzymski Semeneńko. Stowarzyszenie powstało z pobudek narodowych, można je było

w zawiązku nazwać konspiracyą niebieską, łączącą spisek polityczny z kościelnemi dążeniami. Kierunek ten trwał niedługo. W regule powiedzianem jest, że „chcąc Bogu wiernie służyć i utrzymywać swobodę ducha, a ta polega przedewszystkiem na wypełnianiu rozkazów starszych, nie można się wiązać żadnem ziemskiem uczuciem, to jest kochać wszystkich bliźnich jednako, a dla żadnego z nich nie czynić z serca wyjątku.“ W zastosowaniu tego prawidła do zwykłych życia stosunków, ojczyzna, wolność, miłość muszą być wykreślone, zostaje Bóg i jedyny jego na świecie przedstawiciel... kościół, o którego sławę i moc przedewszystkiem starać się winniśmy. Emigranci nasi zdolni, wykształceni, gorąco kochający kraj, prześladowani, potępieni, często w rozpaczy nie widzący dla ukochanej ojczyzny ratunku, w nowym zakonie uznali podstawy przyszłości; nie mogli wywalczyć, więc zapragnęli Polskę wymodlić. I garnęli się pod krzyż Chrystusów, a trwa to od lat już wielu i powtarza się ciągle. Dosyć wymienić wyżej podanych, starego Hubego, z młodszych Zbyszewskiego, Kalinkę i doskonałego, chociaż z przekonania wstecznego publicystę ks. Wołowskiego.

Zmieniono kierunek. Katolicyzm z pominięciem narodowości, stał się wyłącznem księży staraniem. Nie powiem, by ci poświęceni rodacy nasi nie pragnęli Polski, lecz wybawienia jej spodziewają się tylko od hufców aniołów, ale dążą do pochwycenia w swe ręce oświaty krajowej i nie odrzucą nic, coby mogło dopomódz wzmocnieniu zakonu. Ksiądz patryota (czego dowodem list O. Kajsiewicza w r. 1863 pisany) przeklętym jest; „między nami (słowa z ust jednego zmartwychwstańca usłyszane) nie ma Francuzów, Niemców lub Polaków, są jedyni misyonarze.“

Jako misyonarzów za staraniem rządów francuzkiego i angielskiego, przy wielkim współudziale ś. p. ks. Adama Czartoryskiego, wysłano do Bułgaryi. Rządy i zmarły dyplomata nietylko sprawę katolicyzmu mieli na celu, szło tu o polityczne zamiary. Znaną jest światu propaganda moskiewska w Turcyi, zawsze w imię prawosławia występująca. Między Słowianami pod berłem mazułmańskiem liczbą dominują Bułgarzy, i na nich gabinet petersburgski najwięcej rachuje. Tam więc nad Dunajem i w Bałkanach wypadło Moskwie najżarliwiej pracować. Z drugiej strony rzecz biorąc, przypomnieć Bułgarom, że aż do odstępstwa Focyusza należeli do Rzymu, że śś. Cyryl i Metody byli katolikami, czyli powróciwszy ich na łono katolicyzmu, który bądź co bądź, niesie z sobą zachodnią oświatę, byłoby wielką wygraną dla Europy ucywilizowanej. I były chwile, gdzie biedni, uciśnieni i wynarodowiani przez fanar grecki Bułgarzy, z radością przystąpiliby do unii, gdyby tylko zapewnić im opiekę obcego rządu, i raz na zawsze oderwać od panhelenizmu. Na tej przeto propagandzie zmartwychwstańców nietylko Europa, nietylko Turcya i Bułgarya, lecz i Polska mogła skorzystać! Ale księża w prozelickim zapale zapomnieli, a raczej wyrzekli się innych zamiarów. Chcieli tworzyć wyznawców, męczenników, i skończyło się na kilku parafiach unickich i jednej szkole w Adrianopolu.

Szkoła ich w Adrianopolu, doborem nauczycieli, złożonych przeważnie z księży, umiejętnym wykładem zdobyła sobie pierwszeństwo nad innemi. Podzielona na dwa oddziały: bułgarski i francuzki, w. r. 1868 liczyła przeszło 80 uczniów, z tych 22 internów utrzymywanych staraniem zakonu. Dzisiaj po nieszczęsnej wojnie francuzkiej, zakład ten oddający prawdziwe biednym Bułgarom usługi, a Francya go głównie wspomagała, podupaść musiał; reforma zaś duchowna, oddzielająca kościół bułgarski od patryarchatu greckiego, uniemożliwiła szerzenie unii.

Z kolei wspomnieć mi wypada o kozakach, których rzeczywiście żal mi było. Wiele się spodziewano od organizacyi wojskowej chrześciańskiej na Wschodzie, zawiele nawet, by choć w części mogła sprawdzić nadzieje; w pochwałach i naganach przesadzano, o Michale Czajkowskim (Sadyku Paszy) niesprawiedliwe wydawano wyroki.

Do dziś dnia jeszcze nie wolno chrześcianom służyć w wojsku tureckiem, giaury nie dają podatku krwi, a Bułgarzy, co nam się śmiesznem wyda, jak o łaskę prosili o przyjęcie ich w szeregi. Przeszłego roku dopiero wyszedł firman sułtański, dozwalający Słowianom bronić Mahometa; lecz w Turcyi między rozkazem piśmiennym a wykonaniem, przepaść ogromna. Kozacy powstali na żądanie dworów francuzkiego i angielskiego w czasie wojny krymskiej, formacyą i dowództwo powierzono dyrektorowi ajencyi polskiej na Wschodzie, M. Czajkowskiemu, który karyerę swoję wojskową zaczął i skończył w r. 1831 w oddziale pułkownika Karola Różyckiego, w stopniu porucznika, a poźniej na emigracyi poświęcił się sprawom literackim i politycznym. Książę Adam Czartoryski wysłał go do Konstantynopola, Anglia popierała wielce i nawet naznaczyła swoim ajentem do spraw słowiańskich na Wschodzie. W czasie wojny Krymskiej Sadyk, zmuszony podobno, przyjął islamizm i został jenerałem kozaków i dragonów. Młodzież się garnęła, dawni wojskowi polscy przywdziewali mundur, naród z nazwiskiem Czajkowskiego łączył swą przyszłość, spiewano pieśni, przebaczono odstępstwo od wiary przodków, wyczekiwano nad Prutem daremnie. Wojna skończyła się pokojem, dywizyą jenerała Zamojskiego, pozostającą na żołdzie angielskim, rozwiązano, kozacy pozostali w Turcyi. Mimo zmienionych i niekorzystnych okoliczności, długi czas można było tę organizacyą uważać jako zawiązek wojska polskiego.

Domyślacie się, że pierwszą czynnością moją po przybyciu do Adrianopola było zapoznanie się z kozaczyzną. Koszary przedstawiały widok wojska polskiego, administracyą prowadzono w naszym języku, każdy wyższy oficer komenderował jak mu się żywnie podobało, jedni

po polsku, inni po małorusku lub po bułgarsku, po turecku jedynie, prócz uroczystych wystąpień, nigdy. Z wyjątkiem trzech, wszyscy oficerowie, byli Polacy. W szkole pułkowej uczono polskiego, w ogóle w koszarach język nasz uchodził za francuzczyznę, i każdy Bułgar starał się go sobie jak najprędzej przyswoić. Kozaczyzna mogła była oddać wielkie przysługi i Turcyi i sprawie naszej, ale rząd czy nie chciał tego zrozumieć, czy też podejrzywał starszyznę o inne cele, nie dopomagał jakby się należało. Cały pułk dragonów wysłał na Liban, kozaków dłużej trzymano w Trypolis lub w Adrianopolu, niż w sercu słowiańszczyzny, ztąd i propaganda polska i odciągnięcie Bułgarów od Moskwy stawało się prawie niepodobnem. Było w tem nieco winy organizacyi, która nie przebierała w ludziach, a na wiele szaleństw patrzała przez szpary. Wstępujący żołnierz winien był przesłużyć lat pięć, liczba wojska nie była ograniczoną; gdyby przeto przez te 5 lat starano się o umoralnienie i wykształcenie Bułgara (gdyż tych między szeregowcami najwięcej), gdyby go nie wypuszczono z próżnemi rękami, jakiż ogromny wpływ ci ludzie mogliby wywrzeć wracając do wsi rodzinnych. Stało się inaczej, a smutno, że się tak stało, że tyle zwiedzionych nadziei i korzyści straconych tyle!

Dzisiaj, kiedy polityka moskiewska na Wschodzie górą, zmieniono komendę słowiańską na turecką, administratorami Turcy, z Polaków kto tylko może, bierze dymisyą, żołnierze rodacy nasi uciekają, i słusznie.

Ze znajomych moich wszyscy żyją jeszcze, nie mogę więc ani nazwisk ich przytoczyć ni dziwnych opowiadać kolei. Na próbkę jednak, jakich miała kozaczyzna ludzi, przywiodę kapitana B... niegdyś sławnego poetę, autora bardzo ważnego dzieła, posła na sejm berliński, którego prawdopodobnie jakaś miłośna awantura popchnęła w szeregi. Rozpoczął służbę jako prosty żołnierz, poźniej uległ ogólnej kozaczej słabości... co się z nim stało nie wiem. Kapitan Ł... człowiek bardzo wykształcony i poczciwy, kochany od żołnierzy, zrozpaczony, do pióra leniwy; ten przesiedział raz w pustym domu dni sześć nad zwłokami... psa, mówiąc w płaczu, że zgasło ostatnie poczciwe stworzenie. Wielu było takich, którym rozpacz ciemniła wzrok, hulatyka zastępowała waleczne czyny, tęsknota szarpała serce i szukała pociechy w zwyczajnych środkach. Bóg z nimi!...

Nie zapomnę nigdy ośmdziesięcioletniego majora Grabskiego. Bił się w Hiszpanii, topił w Berezynie, walczył pod Grochowem, na emigracyi pracował jako rysownik, w czasie wojny krymskiej wszedł do dywizyi jenerała Zamojskiego, po jej rozwiązaniu do kozaków. Kiedy go poznałem, staruszek z krzesła siadał na konia; w bladej, pomarszczonej twarzy, było coś tak uroczystego, że przechodnie kłaniali mu się; służby już pełnić nie mógł, dokończał żywota rozpamiętując i opowiadając dawne dzieje, a raz biedaczysko z za łez wyłkał: „Stary jestem, pójdę do Polski, toć mi Moskale pozwolą umrzeć na ojczystej ziemi!“ Kiedyś znów: „Wiesz, kupię sobie białego osiołka, bo już na koniu nie mogę, przecież i Najświętsza Panna na osiołku jeździła, to i mnie nikt za złe nie weźmie.“

Stan służby starego majora był opowieścią ostatnich niewolniczych Polski dziejów.

Czy żyje jeszcze mój siwy gołąbek?... nie wiem, tak dawno go pożegnałem...

Więc uściskawszy starego majora, wypiwszy strzemiennego z przyjaciółmi kozakami, nasłuchawszy się przekleństw porucznika Z... na Greków, Turków, Francuzów i innych krajowców, że się dotąd po polsku nie nauczyli, on zaś z przyczyn patryotycznych, po 38 latach emigracyi, innego języka znać nie chciał, siadłem na bryczkę i do Rodosto, a ztamtąd okrętem tureckim przez Marmora do Stambułu, i znów znalazłem się na brudnych ulicach zbudowanej przez Genueńczyków Galaty, i znowuż bieganina, szukanie zajęcia, by troskę o chleb powszedni usunąć.

O Konstantynopolu poźniej. Chciałbym ożywić nieco moję przydługą i nudną gawędę; tedy wprost do rzeczy.

Na szczęście moje (darujcie ułomność natury ludzkiej) zabito w tym czasie w Belgradzie księcia serbskiego. Różne dzienniki i ajencye potrzebowały korespondentów, że zaś umiałem kilka języków, i na mnie padła część tych często nużących obowiązków, znalazłem się już nie wiem po raz który na okręcie, sam siebie pytając smutnie: kiedy, gdzie, jak te bezkończowe przejdą wędrówki?

A dzień był prześliczny. Brudny przy brzegu Bosfor, lśnił się wspaniale na środku. Kaik (łódka) przybił do stopni okrętu, wysiadłem, na pokładzie ruch i krzyk nie opisany. Przekleństwa majtków, targi tragarzy, czułe pożegnania, świst pary, mieszały się w dziwną jakąś symfonią. Zwyczajem podróżnego rozglądałem się w otaczającem mnie towarzystwie. Było liczne, pierwszą klasą płynące kobiety postrojone, koło nich wielu kręcących się elegantów, na kanapie rozsiadł się pysznie bankier jakiś, i co chwilę wołał kamerdynera; Turek przechadzał się po wierzchu przesuwając po za plecy założonemi rękami paciorki różańca, bez którego żaden prawowierny muzułmanin obyć się nie może, i co stanowi najmilszą mężczyzn zabawkę.

Na pokładzie trzeciej klasy Turcy rozesłali dywany i materace i przygotowywali się do wieczornego *namazan* (modlitwy), zasłonięte kobiety w oddzielonej przegrodzie kłóciły się między sobą, świecąc z pod szerokich płaszczów żółtymi pantoflami. Na uboczu gwarzyli Słowianie, których głód i nędza wypędziła z Czarnej góry i z Bałkanów, i szukali zarobku daleko. Zapatrzonego wyrwał z zadumy głos znany po francuzku mnie witający. Był to paryżanin

czystej krwi, wesoły, dowcipny, w rozmowie nie wyczerpany, uśmiechnięty wiecznie i zakochany zawsze, który dowiedziawszy się o raz popełnionym przezemnie na przyjacielskiej biesiadzie wierszu, nazywał mnie: „*Monsieur le poéte.*

— *Eh bien*, znudził się nam Bosfor, płyniemy nad Dunaj, wszak Belgrad nad Dunajem leży?

— O nie, nad Sawą.

— Wszystko jedno. Shakespaere do Czech okrętem płynął. Zbierać pieśni, propagować *ces sallsbetes des Serbes?*

— Broń Boże, nauczać Francuzów w gazetach, że za Paryżem świat się nie kończy.

— Myśmy nieciekawi. *Mais regardez donc* tego głupiego Anglika z szeroką gębą, który spleen swój rozwozi po całym świecie, a w Konstantynopolu chciał już eunuchem zostać, byle tylko harem zbliska obejrzeć. Odradzono mu jednak, więc odstąpił od zamiaru i jedzie do Wiednia.

Francuz paplał, ja udawałem grzecznie, że słucham. Na raz zerwał się krzycząc: Ah, ah, ah!...

— Cóż tam? czy rekin na wierzch wypłynął?... Czy skorpion na statek zawędrował i ukąsił cię?

— Gorzej!... gorzej!... patrz! — Spojrzałem.

Na pomost wchodziły dwie kobiety, jedna przekwitająca już piękność, dość otyła blondynka, druga... a, ta druga... doprawdy ja, który tyle świata zjechałem, nie widziałem piękniejszej kobiety. Młodziuchna, świeża twarz barwy głębi białej, lekkim szkarłatem zarumienionej róży, brwi jak dwa jaskółcze skrzydełka nad czarnemi „takiemi wielkiemi oczami“, a włosy, Boże! gdyby je na słomę zmienić, chatę wieśniaczą by utuliły. Postać tak skończona, że cal jeden więcej wzrostu lub mniej, jużby źle było.

Co żyło, stanęło w zachwycie niemym na jej widok. Turek nawet paciorki upuścił, i szepnął: *Aman*, *aman*, *czok giuzel!* (Ach, ach, bardzo piękna). Zarumieniła się hołd ten przyjmując. Mnie przyzwyczajonego do zalotności niewiast europejskich na wschodzie, wstydliwość ta ujęła za serce.

W pięć minut po przybyciu, Francuz osłaniał troskliwie ramiona pięknej nieznajomej, podawał stołeczek pod drobne nóżki i tysiącem osypał pochlebstw.

Ja patrzyłem z boku. Raz oczy nasze spotkały się, nie wiem dla czego (boć przecie nie zakochałem się) nie wytrzymałem pojedynku i pierwszy wzrok spuściłem.

Dano znak odpłynięcia, podniesiono kotwicę z wielkim zgrzytem, okręt ruszył.

Nie znam nic piękniejszego nad podróż morską, zwłaszcza dla człowieka szczęśliwego nie chorującego, a najcudniejsze wtedy widoki, gdy brzegu nie widać, kiedy statek wśród wód ogromu drobną się zdaje łupiną, człowiek czemś tak małem, że się przeraża własnej nikczemności, a krzyk odpoczywającej na maszcie rybitwy niby pieśń pogrzebowa rozrzewnia. Lubiłem zawsze o krawędź okrętu oparty patrzeć na grę kolorów, świateł łamiących się na morskiej powierzchni, na tę srebrną drogę, jaką rudel przerzynając bałwany za sobą znaczy.

Oczy Ormianki, gdyż Francuz o narodowości i imieniu nawet się dowiedział, przeszkadzały zachwytom, alež bo były tak piękne, łagodne, tak cudownie oprawne i jakoś spokojnie a smutno na okół wodziły.

Zaproszono do obiadu. Wyznaczono mi miejsce naprzeciw pięknej, paryżanin siadł obok i męczył nadskakiwaniem, służącemu wyrywał półmiski z rąk, dolewał wina, zgadywał chęci, dziewczę dziękowało grzecznie. W podróży a szczególniej na parochodzie, ludzie się prędko znajomią. Przy trzeciem daniu zawiązała się ogólna rozmowa, w którą i ja się wmieszać musiałem.

Francuz spytał Ormianki, czy pozwala na komplement.

— Jaki?

— Jesteś pani piękna jak pączek róży.

Dziewczyna po raz wtóry oblała się szkarłatem.

— A teraz jak wiśnia — wstydził dalej zapłonioną. — Cóż pan na to *monsieur le polonais?* — zwrócił się do mnie. Z kłopotu niewiadomości co odpowiedzieć, wybawiła mnie czarodziejka radośnym okrzykiem.

— *Comment monsieur est un polonais!...* i w niegrzeszącą wdziękami twarz śledczy wzrok wpoiła.

— Tak pani.

— I emigrant — dorzucił Francuz.

— I emigrant!. — krzyknęła prawie składając drobne rączęta.

— I poeta — zadenuncyował mnie natręt.

— Polak, emigrant i poeta *quelles chances!* — szepnęła śliczna, a poźniej niecierpliwie dodała: Ach, żeby się ten obiad raz już skończył.

Podano kawę. Dziewczę odmówiło, a przechodząc koło mnie, wyzywająco rzekło.

— Chodź pan na pokład.

Posłuszny rozkazowi podałem jej ramię. Towarzyszka wyszła z nami, na około wszyscy podróżni prawie.

— Żałuję, żem się nie nauczyła po polsku.

— Ach, pani to język taki niewdzięczny dla niej.

— O nie, teraz naprzykład mogłabym się z panem rozmówić i nikt by nas nie zrozumiał.

— Co robisz szalona? — strofowała ją towarzyszka.

— Moja Agrypino, daj mi pokój, temu panu dobrze z oczu patrzy, ja się muszę dowiedzieć, ten pan to Polak, emigrant i poeta, trzy tytuły dające prawo do szczerości.

Słowa te wystarczyły, by odpędzić całe towarzystwo, a mnie wprowadzić w zdziwienie. Zostaliśmy sami na stronie, otoczeni cieniem, wśród wody szmeru, a „ona srebrna księżyca światłem.“

— Czem mogę służyć?... spytałem banalnie.

— Wolałabym inne zaczęcie, ale mniejsza — mówiła niecierpliwie; — nie śmiej się pan ze mnie i szczerze odpowiedz; przyrzekasz?

— Uroczyście.

— Czy pan znałeś hr. Ireneusza Z... * w Dreznie?

— Znałem go kiedyś w Warszwie jako dowcipnego salonowca, poźniej w powstaniu, jako walecznego żołnierza, a na emigracyi... słyszałem... lecz słowa urwałem, tak moja piękna pobladła i usteczka jej zadrzały...

— Dokończ pan, słyszałeś,... szeptała ściskając konwulsyjnie ręce... albo ja skończę, że umarł, zabity w pojedynku, czy tak?... czy to prawda?... i łzy tłumione z oczu wytrysły.

— Tak pani!

— I wyzwanie w tańcu, sprzeczka o order w kotylonie, i za to śmierć... A jam go tak kochała!... Nie chciałam wierzyć, jadę do Drezna, by się przekonać, a jeśli prawda, to mu na grobie kwiatów posiać. On tak lubił kwiaty!... I zapomniał o mnie, tańczył na balach, a przecież ja... pan wiesz, my perotki... (jest to ludność bez narodowości, zrodzona w Turcyi, rasa mieszana, nazwa pochodzi od Pery kwartału europejskiego w Konstantynopolu. Często peroci zapytani o pochodzenie, odpowiadają, jesteśmy katolicy. Dziad Hiszpan, babka Włoszka, ojciec Woch, matka Francuzka, dziecko bezwyznaniowe co do narodowości, ci obywatele świata zwykle nie mają żadnych p r z e s ą d ó w, zarówno i z jednaką gorliwością służą Moskwie i Turcyi, a jedną dla drugiej dla większego zysku zawsze porzucić gotowi) bo matka moja tylko Ormianka, ojciec Maltańczyk, siostra, która mi towarzyszy w tej smutnej podróży, wyszła za moskiewskiego pułkownika; jesteśmy płoche, lubimy się bawić... ja mdlałam w tańcu ze zmęczenia i upojenia. A jednak, kiedy mi wsunął przeszłego roku na wycieczce w Szwajcaryi Saskiej pierścionek na palec, nie byłam ani na jednym wieczorze, białą sukienkę przepasywałam czarną szarfą! On był rzeźbiarzem, artystą, biust mój zrobił! profanowałam często dzieło mistrza strojąc je w kwiaty i kamienie, myśląc: że tak ubrana podobałabym się jemu może. O, panie, jam bardzo nieszczęśliwa. Chyba on mnie nie kochał!

Położenie było śmiesznem, pocieszać znaczyło tyle co szydzić, ściskałem tylko drobne rączęta, a ona w raczej przeczutem niż zasłużonem zaufaniu oparła śliczną swą główkę na mem ramieniu i płakała.

Po chwili otarła oczy, spojrzała w niebo i na morze.

— Jak tu cudownie!... Gdydy tak z nim!... i poźniej: jak to dobrze, że pan taki brzydki i dobroduszny, nikt nas o romans nie posądzi. Ten Francuz mówił, żeś pan poeta, napisz mi wiersz do niego...

— Dobrze, lecz uprzedzam z góry, że nie wyrówna przedmiotowi.

— Wyrówna... wyrówna... pan go znałeś, masz dobre serce, napisz zaraz tu... albo w wagonie. Jak daleko pan jedziesz?

— Do Zemlina.

— A... to razem, czasu dosyć. Chodź pan do kajuty na herbatę, dam panu konfitur, tylko nie śmiej się i nie mów nikomu, żem ja przed tobą płakała. To tak głupio kochać!.. prawda?

Miały oddzielną kajutę, gawędziliśmy do poźna, a kiedy schodziłem na dół, w ogólnym salonie spotkałem Francuza nad szklanką grogu.

— *Sacré nom de Pologne!* — wykrzyknął — aleś bratku szczęśliwy! Cóż ty w niej, czy ona w tobie łysym i pomarszczonym, czyście wzajemnie się pokochali?

— Daj pokój żartom, to dobre, poczciwe, wyjątkowe stworzenie. Kocha za grobem, nie zapomniała o zabitym narzeczonym.

— Umarli nie mówią, to najłatwiej, i do niczego nie zobowiązuje, a przyszły małżonek nie będzie miał powodu do zazdrości. Napij się grogu na cześć upiora! — śmiał się cynicznie paryżanin.

Wiersz napisałem. W Zemlinie po uroczystej obietnicy pisywania, pożegnałem nieszczęsną piękność. Czy posadziła kwiaty na grobie Ireneusza Z.... nie wiem, ale to wiem, że w dwa lata po tem spotkaniu rozmawiałem z nią w Stambule jako z żoną Arystydesa Skonowi, bankiera Greka.

Karol Pieńkowski.

ALEXANDER hr. PRZEŹDZIECKI.

(Odczyt miany na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu dnia 8. stycznia. r. b. przez sekretarza i konserwatora tegoż Towarzystwa H. Feldmanowskiego.)

W dniu 26. grudnia r. z. zmarł w Krakowie po kilkodniowem cierpieniu mąż zacny, miłośnik wielki i znawca sztuk pięknych, pracownik na polu literatury historycznej i archeologii krajowej niezmordowany, nakładca wspaniałomyślny kilku dzieł znamienitych w literaturze polskiej naukowej, mąż pełen miłości dla wszelkich rzeczy ojczystych a przytem gruntownej nauki, członek czynny wielu naukowych towarzystw europejskich, a między temi członek honorowy i naszego Towarzystwa. Tym mężem był Alexander hr. Przeździcki, wielce zasłużony autor i wydawca wielu szacownych dzieł.

Temi to dziełami, po części nakładem własnej pracy, po części zaś swoim kosztem wydanemi, pozostawił po sobie pomnik wieczysty i wdzięczną pamięć u wszystkich

świa*t*lejszych współziomków swoich wraz z szczerym żalem, iż tak wcześnie i nagle poszedł na spoczynek wieczny.

Mdłe są i zużyte wyrazy, jakiemi zwykle składamy cześć publiczną zasłużonym w jakimkolwiek względzie około dobra narodu czy kraju mężom; nie miarkujemy się w ich doborze, ale rzucamy je na groby zbyt hojnie, przeceniając te i owe zasługi. Dlatego z trudnością mi przychodzi znaleźć wyrazy nowe na uwicie z nich wieńca, który złożyć pragnę na świeżym jeszcze grobie; bo jeźli komu, to takiej zasłudze, takiemu szlachetnemu zbieraczowi wszelkich pamiątek i zabytków ojczystych, takiemu pracownikowi i wydawcy dzieł historycznych i wytworów sztuki, piękniejszy niż wielu innym, zasług pospolitych, słusznie się należy. Lecz nie stać mnie w tej chwili na taki, przeto raczcie panowie wybaczyć, iż tylko lekko nakreślone przedstawię wam jego życie, tylko kilka rzucę na ten obraz promyków, zaledwie dozwalających dojrzeć ducha, który ś. p. Alexandra ożywiał; o samych zaś płodach tego ducha sądu wcale wydawać nie będę, bo ten do odleglejszej przyszłości należy, a ograniczę się jedynie na wyliczeniu jego prac w księgach zawartych, pomijając inne, nie dające się na oczy przedstawić, jak wszystkie troski, mozoły i niezliczone podróże i korespondencye w celach zebrania materyałów, lub dla badań i poszukiwań archeologicznych podejmowane.

Do wszelkich badań umiejętnych na jakiem bądź polu potrzeba przedewszystkiem zasobów nauki i wiedzy, a potem wytrwałości i skrzętnej pracy, jeźli mają przynieść prawdziwie pożyteczne owoce. Zmarły, którego czci poświęcamy te słowa, posiadał owe przymioty w wysokim stopniu, rozwinął je należycie w ciągu swego życia i zużył, jak to niżej obaczymy, jak najkorzystniej na dobro publiczne; a że miał znaczny majątek i rozległe znajomości i wpływy nie tylko we własnym kraju, ale i poza jego granicami, przeto mógł w szlachetnych zapędach swoich dążyć do wszystkich celów, przynoszących zdobycze naukowe, artystyczne i literackie na pożytek swego narodu. Że zaś tylko do takich celów przez całe życie dążył, to jego szczególna zasługa; tej więc cześć oddajemy, bo nie wielu jest w naszem społeczeństwie takich, którzyby mając stosunki i wpływy również znaczne, a wykształcenie odpowiednie i majątek nad własne potrzeby, obierali sobie również szlachetne, wyższe cele i poświęcać chcieli swoje prace i mienie dla nabytków, któremi się cały naród zażywia i bogaci pożyteczniej niż złotem i srebrem. A więc słusznie wdzięczni jesteśmy zmarłemu, który swoim również uposażonym współziomkom tak piękny i do naśladowania zachęcający pozostawił przykład.

Aby tę zasługę należycie ocenić, przypatrzmy się bliżej jego życiu i pracom. Alexander hr. Przeździcki, urodzony 29. lipca 1814 r. w Czarnym Ostrowie na Podolu z ojca Konstantego, byłego przez 30 lat marszałka szlachty podolskiej, i matki Adelaidy z domu hr. Olizarowny, odebrał początki nauki i wychowania w domu rodzicielskim, a w r. 1827 oddany został do słynnego liceum w Krzemieńcu, gdzie do r. 1831 pilnie się uczył. Znane wypadki r. 31. przerwały tę naukę, i dopiero w r. 1833 udał się na uniwersytet do Berlina i tam dwa lata spędził, dla uzyskania zaś stopnia doktora filozofii przeniósł się na krótki czas do Wrocławia.

Jako akademik berliński odbył w czasie wakacyi r. 1833 podróż do Szwecyi i Danii, która wielki wpływ wywarła na jego młodzieńczy umysł, a którą opisał i wydał w Warszawie 36. r. Drugie wydanie z dodatkiem pierwszych utworów literackich, jak: Trzy chwile w życiu, Ostatnia z Dolskich, Mazepa i Fenella, ukazało się w Wilnie r. 1845. Już wówczas obudziła się w nim szlachetna chęć badania kraju ojczystego, co widać z następujących słów z przedmowy do tego dziełka wyjętych: „Z innem usposobieniem, z innym zapasem nauk i wiadomości możnaby pożyteczniej dla kraju i dla siebie mało znane dotychczas strefy zwiedzić.“ Świadczą te słowa zarazem, jak skromne miał o sobie rozumienie.

Z opisu tej podróży przekonywamy się, iż go już wówczas szczególniej zajmowały dzieła architektoniczne, zabytki starożytności, wytwory malarskie i rzeźbiarskie i skarby naukowe po bibliotekach i archiwach przechowywane; jakoż odtąd całą duszą się oddał badaniom, zbieraniu i opisywaniu tych przedmiotów. W jego młodzieńczej duszy, otchnionej rzewnem uczuciem miłości dla ojczystego kraju, pełnego wówczas niedoli i ruin wystawionych na grabież zwycięzców, rozniecił się szlachetny zapał do chronienia wszelkich zabytków i pomników sztuki i literatury polskiej i do odkopywania zasypanych gruzami świętych pamiątek ojczystych. Odtąd już te jedynie prace miał na celu, i tym wszystkie dni życia swego i znaczną część mienia poświęcił.

Żywym dowodem tego usposobienia zacnej pamięci Alexandra jest dzieło dwutomowe wydane w r. 1841 w Wilnie: Podole, Wołyń, Ukraina, obrazy miejsc i czasów, gdzie we wstępie te znajdujemy słowa: „Piękne widoki nie wzbudzają ciekawości, bo każdy je ma u siebie, a o ruiny, tak starannie zwiedzane za granicą i co do cegiełki, że tak powiem, opisane, u nas nikt się nie pyta... Czas już, abyśmy żyć zaczęli życiem czynnem w obrębie sił naszych i usposobień, w obrębie zasobów, jakie nam rodzinna ziemia przedstawia, a ten obręb, Bogu dzięki, rozległy. Poznajmy tylko, co jest w ręku naszym, chciejmy szczerze, co możemy, a odkryje się przed nami świat nowy i t. d.“ Podróż owę po Wołyniu i Podolu odbył w r. 1839 z polecenia rządu, dla zebrania materyałów do statystyki tych krajów. Korzystał z tej sposobności jak najpilniej i umiejętnie, czego to dzieło dowodem. Wszystkie archiwa publiczne i kościelne stały

dlań otworem z polecenia rządu, a prywatne hr. Chodkiewiczów, Potockich, Mniszka, Olizara, Xiążąt Lubomirskich, Jabłonowskich, Radziwiłłów, Sanguszków zwiedził wtedy i przejrzał za własnem staraniem, ułatwionem przez stosunki pokrewieństwa z kilkoma z wymienionych rodzin. Dużo to dzieło zawiera zajmujących rzeczy historycznych, i niejeden żywy obrazek okolicy, ludzi, dworu, jakich tam dzisiaj już nie ma, tak się wszystko w ostatnich kilku latach zmieniło, zburzone mieczem i ogniem, a nakryte zgrozą. Nie ma tam dzisiaj tych ludzi, tego życia i tych barw jasnych, jakie nam opisał zmarły autor. Cały ten wielki, niedawno jeszcze tak żywy i piękny obraz owych krain, dzisiaj martwy, bezbarwny, a ciemny i smutny, jakby go nawet nie to samo oświecało słońce.

Pomimo szczególne zamiłowanie do zbierania, pisania i wydawania dzieł poważnej treści naukowej, mianowicie historycznej i archeologicznej, zajmował się hr. Przeździecki i literaturą lżejszą w młodszych latach. Tak np. napisał we francuzkim języku dramat: Don Sebastien do Portugal, który w r. 1836 przedstawiono na teatrze publicznym w Petersburgu i t. r. tamże wydrukowano. W r. 1841 wydał w Wilnie dramat historyczny w 5 aktach: Halszka z Ostroga. Historya tej nieszczęśliwej księżniczki żywo go wówczas zajmowała, o czem sam wspomina we wstępie do dramatu, i zajmowała jeszcze na kilka dni przed śmiercią, czego dowodzi list pisany z Krakowa 15. grudnia r. z. znajdujący się w moim ręku. Ta drobna na pozór okoliczność jest przecież silnym dowodem, z jaką wytrwałością śledził i zbierał wszelkie materyały do raz poczętej lub zamierzonej pracy, i jak troskliwie się starał o zebranie wszystkiego, aby przedmiot należycie wyjaśnić lub wyczerpnąć. W roku 1843 wydał w Paryżu swoje tłumaczenie powieści Kraszewskiego: Świat i Poeta, pod przezwiskiem Alexander de Noirville (Czarny Ostrów.) W r. 1844 ukazał się jego dramat historyczny: Jadwiga, a w r. 1859 wydał Żupański w Poznaniu jego tłumaczenie komedyi: Ofiary, z angielskiego Tayloru.

Wspólnie z Michałem Grabowskim wydał Przeździecki w r. 1843 i 1844 w Wilnie 2 tomy szacownych materyałów historycznych, pod tytułem: Źródła do dziejów polskich, a prócz wymienionych napisał mnóstwo mniejszych rozprawek historycznych i archeologicznych, zamieszczonych w pismach: Atheneum Kraszewskiego, Bibliotece Warszawskiej, Tygodniku Illustrowanym warszawskim i Rocznikach Tow. Nauk. Krak. Kilka z tych rozprawek wyszło w osobnych odbitkach jak np. O dwóch odpisach pieśni Bogarodzica i rękopisie Hist. pol. Herburta; Sprawozdanie z posiedzeń kongresu archeologicznego w Antwerpii w roku 1867; Wykopalisko na wyspie jeziora Lednicy pod Gieznem r. 1869; Piąte sprawozdanie z czynności wydawnictwa dzieł Długosza r. 1870; Opis 64 rękopisów Długosza Historyi w piśmie niemieckiem Intelligenzblatt zum Serapeum nr. 7. r. 1870 i inne.

Wszystkie te pisma jakkolwiek nieobszerne, zawierają przecież bardzo cenne wiadomości historyczne i archeologiczne, zebrane z wielkim nakładem trudów i kosztów pieniężnych, a do rzędu tych prac należą jeszcze następujące w osobnych wydaniach: O Polakach w Bononii i Padwie, Warszawa 1853. O włoczni zwanej św. Maurycego, Warszawa 1861. Pieśń Bogarodzica wraz z nótą, podobiznami oryginałów i dwunastu odmianami na jednej tablicy zestawionemi dla porównania, w Warsz. 1866 r., oraz piękne i kosztowne dziełko z obrazami i podobiznami: Modlitwa św. Kazimierza Jagiellończyka, wydana w Krakowie 1867, i Odczyt o Wilhelmie Machaut truwerze francuzkim, w Krakowie 1868.

Samo wyliczenie tych pism jest najlepszem świadectwem o rozlicznych a skrzętnych pracach zmarłego autora, chociażeśmy niejedno pominęli, nie mając ich pod ręką, jak np. Listy Annibala z Kapuy; Ślady Bolesławów polskich po obcych krajach; Życie domowe Jadwigi i Jagiełły i t. d. Najwspanialszym pomnikiem pracowitości i ofiarności hr. Przeździeckiego są wydane w latach 1853 — 1862 wspólnie z baronem Rastawieckim: Wzory sztuki średniowieczn ej z epoki odrodzenia w dawnej Polsce z tekstem polskim i francuzkim i chromolitografiami. Trudno dać wyobrażenie o mozołach i kosztach, jakich to dzieło wymagało, już na samo zebranie rozprószonych po całej Europie materyałów i objaśnień, a przecież nie zdołały te trudy i nakłady zrazić wytrwałości pracowników i wydawców. Dokonali swego dzieła tak chlubnie, iż śmiało się na równi stawić może z najpiękniejszemi tego rodzaju dziełami zagranicznemi.

Również mozolne i kosztowne, ale wyłącznie ś. p. hr. Przeździeckiego pracą i kosztem zebrane i wydane dzieło wyszło w Krakowie r. 1868 pod tytułem: Jagiellonki polskie w XVI. wieku. Już samo to jedno dzieło zdołałoby zapewnić autorowi znamienite miejsce w rzędzie pisarzy historyi i wdzięczną u potomnych pamięć, a przecież nie na tem jeszcze koniec jego prac i ofiar dla oświaty i wzbogacenia swego kraju szacownemi pismami.

Nie mogąc sam wszystkim tego rodzaju wydawnictwom podołać, pobudzał innych do zajmowania się takiemi pracami i nie szczędził nakładów na wydanie ich. Jego to staraniem i nakładem wyszła w Krakowie r. 1862 Kronika polska mistrza Wincentego zwanego Kadłubkiem, z tekstem łacińskim i tłumaczeniem polskiem, według najlepszego rękopisu Eugeniuszowskiego.

Jeszcze znamienitszem jego wydawnictwem są Dzieła Jana Długosza, których tutaj tylko 6 tomów mamy na oczach, lubo wyszło już ośm, a jeszcze siedm zupełnie przygotowanych do druku, oczekuje wydania. Aby szanownym słuchaczom dać wyobrażenie o ogromie prac przygotowanych do tego wydawnictwa, dosyć wspomnieć, że nim je rozpoczęto, porównano 64 rękopisów, 6 ułomków i 10 streszczeń historyi polskiej Długosza, rozrzucone po bibliotekach publicznych i prywatnych całej Europy. Tylko mąż takiej wytrwałości i skrzętności jak Przeździcki mógł dokonać tej rozległej z znacznym kosztem połączonej pracy. Koszta dotychczasowe tego wydawnictwa wynoszą 16,516 rubli, a z prenumeraty umorzono po dziś dzień zaledwie dwa tysiące.

Według pewnych wiadomości, które odebrałem z Krakowa, zapewnione jest pomimo śmierci przedsiębiorcy wydanie zupełne Długosza, i tom V. Jagiellonek, już przez zmarłego autora do druku przygotowany. Nierównie cenniejsze są materyały do historyi mianowicie kościoła w Polsce wydane przez Augustyna Theinera pod tytułem: Vetera monumenta Poloniae et Lithuaniae gentiumque finitimarum, historiam illustrantia etc. w Rzymie r. 1860 i 1861. Jednym z głównych pobudzicielem i pomocnikiem, a hojnym nakładcą w wydaniu tego pomnikowego dzieła był hr. Przeździecki, o czem sam wydawca Theiner z wdzięcznością wspomina w przedmowie do I. tomu Monumentów.


Alexander hr. Przeździecki (rys. K. Młodnickiego.)

Otóż zaledwie naszkicowany obraz prac i zasług ś. p. Alexandra Przeździeckiego na polu literackiem i naukowem. O pracach jego archeologicznych i zamiłowaniu w literaturze i sztukach pięknych świadczą jego bogate zbiory, jako też nabycie słynnych ruin Ojcowa, celem ochronienia ich od zagłady, a wyzyskania dla nauki.

Ożeniony z Maryą hr. Tyzenhauzówną pozostawił dwóch synów: Konstantego, ur. w Neapolu 10. czerwca 1846 i Gustawa ur. w Warszawie 24. marca 1850 roku. Piękną, droższą nad wielkie mienie wzięli ci synowie po zmarłym ojcu spuściznę, bo zasługami osobistemi dla kraju sławne i wdzięcznej dla narodu naszego pamięci imię. Z szczerą się dowiadujemy rodością, iż to najpiękniejsze dla każdego szlachetnego, a wykształconego człowieka dziedzictwo na godnych przeszło spadkobierców, synowie bowiem ś. p. Alexandra Przeździeckiego żywą dla zmarłego ojca czcią przejęci umieją ocenić to, co mu powszechną cześć zjednało, i w dowód tej czci sami go naśladować pragną; jakoż obecnie podjął hr. Konstanty dokonanie wydania Dzieł Długosza, V. tomu Jagiellonek i Wzorów sztuki średniowiecznej w Polsce.

Mając kilkakrotnie sposobność przypatrzenia się pracom i życiu ś. p. Alexandra hr. Przeździeckiego, mianowicie podczas kilkodniowego pobytu jego w Poznaniu przed wyjazdem na kongres archeologiczny do Bononii, kiedy codziennie po kilka godzin spędzaliśmy razem na badaniu i oglądaniu zbiorów naszego Towarzystwa i układaniu karty archeologicznej Wielkiego Księstwa Poznańskiego, nabrałem szczerego i głębokiego uszanowania dla jego obszernych a najrozmaitszych wiadomości naukowych, a zamiłowania dla wszelkich zabytków przeszłości naszej miłej ojczyzny. Widziałem go zawsze całą duszą oddającego się przedmiotom swych dociekań lub badań i niezmordowanego w zbieraniu wszelkich szczegółów.

Wielka nadto uprzejmość i łatwość w pożyciu serdeczne zjednywała dlań uczucie wdzięczności, które i tę drobną pracę moję otchnęło. Cześć jego pamięci, cześć tak zacnemu członkowi naszego Towarzystwa. Sit ei terra levis!

H. Feldmanowski.

NIESZCZĘŚLIWA.

POWIEŚĆ

PRZEZ WOŁODEGO SKIBĘ.

(CIĄG DALSZY.)

III.

Gdy Julian i Ignacy dojeżdżali do miasteczka, do którego obydwaj najmniejszego interesu nie mieli, wyjeżdżał ztamtąd na przebytą przez nich drogę nieelegancki, lecz wygodny i silnie zbudowany powóz, zaprzężony trójką koni, których gatunek i budowa, równie jak uprząż świadczyły, że właścicielowi nie tyle chodziło o pokazanie się, co o rzeczywisty pożytek.

Nasi przyjaciele nie robili tych uwag, będąc bowiem, jak wiemy, zupełnie czem innem zajęci, zupełnie nawet nie przyglądali się powozowi, który mógł wieźć osobę, mającą i w ich życiu odegrać jaką, może ważną rolę; my jednak, którzy jesteśmy tylko czytelnikami powieści, którzy przynajmniej w bardzo znacznej większości nie jesteśmy w tej chwili zakochani — kochankowie bowiem, własnym romansem zajęci, nie bardzo się lubią bawić w drukowane romanse — my, którzy zatem nie mamy rywali i nie zobowiązaliśmy się przystąpić za tydzień do aktu mającego zadecydować o naszej przyszłości, my jednem słowem ludzie spokojni i pogodnego umysłu, możemy sobie pozwolić tej małej rozrywki i zabawić się w obserwatorów.

Już z tego, cośmy zobaczyli, odrazu domyślimy się łatwo, że jadący z miasteczka należał do tej klasy ludzi, których nazywają praktycznymi. Wyjeżdżając w podróż lubił ją odbywać prędko i wygodnie, i zaopatrywał się w to wszystko, co mu zapewniało te dwa warunki; świadczyły o tem konie, uprząż i konstrukcya pojazdu.

Zajrzawszy w głąb powozu, zdziwimy się zapewne, że ten praktyczny człowiek był człowiekiem młodym, o rok może starszym od Ignacego i Juliana, a do tego przystojnym tak, że gdybyśmy się chcieli bawić w porównania, toby się nie dał zaćmić postawiony obok każdego zosobna, a nawet obok obu razem naszych dawniejszych znajomych. Prócz tego, gdy oko tamtych jaśniało tylko właściwym oczom zakochanych blaskiem, lub omdlewało w jakiejś zadumie także tylko zakochanym właściwej, z oka tego praktycznego człowieka tryskało światło rozumnego na świat i ludzi poglądu. Był to wyraźnie człowiek poważnej myśli, człowiek nie rozpróżniaczony w dostatku, choć we wszystkiem tem, co wiózł z sobą, a raczej co go wiozło, znać było dostatek, jakkolwiek nie puszący się pańskością i nie obliczony na wystawę. Nawet odzież dwóch ludzi, siedzących na koźle, zostawała w harmonii z tem ogólnem wrażeniem. Nie była to liberya święcąca herbowemi guzikami, na świadectwo, że nie należy do tego, kto ją ma na grzbiecie, tylko mu ją włożono na pokaz; ale rzadko się zdarzy widzieć tak porządnie, czysto i cało odzianą służbę, jak była służba naszego praktycznego młodzieńca, w którym pomimo wszystkich jego przymiotów i powabów, wątpimy bardzo, żeby się która z czytelniczek już zakochała, a wątpimy właśnie dlatego, że był taki praktyczny, bo to jest przymiot, za którym nie ma przykładu, żeby jakie serce romantyczne szalało.

Powóz toczył się szybko równą i gładką drogą... zapomieliśmy powiedzieć, ale już z tego faktu czytelnicy odgadną, że rzecz naszego opowiadania nie dzieje się w Galicyi, gdzie nasz podróżny musiałby się już dotąd potknąć przynajmniej o jaki wybój autonomiczny... Otóż powóz toczył się szybko, pasażer siedział w nim sam, nie mieszał się do niezbyt żywej rozmowy, którą na koźle lokaj z woźnicą prowadzili, nie palił fajki ani sygara, a mimo to nie ziewał.

Jest to znakiem bardzo charakterystycznym, jeżeli ktoś w podróży bez towarzysza, po kraju, którego przyroda nie uposażyła wyjątkowemi wdziękami, siedząc wygodnie, w ciepły dzień letni, nie zdrzemie się, albo nie ziewa. Znać, że człowiek taki w potrzebie umie wysnuć z swego własnego umysłu przedmiot, który go zajmuje i bawi, że przywykł myśleć porządnie i nie puszcza cugli fantazyi, która samopas drogą kojarzenia się wyobrażeń wybiegać zwykła na jakieś jałowe pustkowia. Jeżeli tak było rzeczywiście, a zdaje się, że nie było inaczej, to odkryliśmy w naszym pasażerze jeszcze jeden przymiot, który serc czytelniczek zapewne nie pociągnie do niego. Co mi to za człowiek — powie niejedna — który lubi samotność?.. jakiś dzik odludek, mizantrop niezawodnie, przeznaczony widocznie przez autora na to, ażeby robił triste figure na tle powiastki, z której kartek ma się uśmiechać wesoła Stella. Kto wie jednakże, czy to nie jest zdanie przedwczesne, i czy go piękne czytelniczki odwołać poźniej nie będą musiały...

Powóz tedy jechał... i...

Przepraszam... jeszcze jedno zboczenie...

Jest w literaturze naszej pewna powieść, a raczej prolog powieści, bo—o ile mi wiadomo dalszy ciąg wcale nie wyszedł, gdzie czytelnik z całego, dosyć obszernego tomu dowiaduje się tylko tyle, że chłop szedł drogą i doszedł do krzyża. Jakkolwiek mimo tak szczupłej treści powieść owa gładko się czyta, a nawet może zająć rzadkich

zresztą amatorów kreślonych piórem krajobrazów, nie chciałbym jednak, aby i czytelnicy moi z tego rozdziału dowiedzieli się tylko tyle, że powóz jechał i dojechał aż do olszynki, którą można było widzieć z okna panieńskiego pokoiku w gromnickim dworze. Dlatego skracam opowiadanie, i oświadczam poprostu, że pojazd wiozący mojego praktycznego młodzieńca już był tylko o staję od owego olszowego gaiku, gdy bohater nasz... nazwijmy go bohaterem par complaisance, choć się na pierwszy rzut oka wydaje, że to jakieś indywiduum wcale nie do pokochania... ujrzał w oddali dosyć dziwnej konstytucyi budynek.

Był to młyn, jaki rzadko widzieć się zdarzy, młyn, w którym dowcipnie skombinowano siłę wiatru z siłą wody, której mała płynąca pod nim rzeczka zobowiązała się podobno dostarczać, ale nie zawsze, szczególniej w lecie, dotrzymywała kontraktu. W takiej sytuacyi zawezwanie na pomoc siły wiatru, ażeby wyręczał wodę, gdy się okazała niesłowną, nie było widocznie płodem jakiejś dziwnej architektonicznej fantazyi, lecz zręcznem zaradzeniem praktycznej potrzebie. Niemcy mają przysłowie, że potrzeba łamie żelazo; budowniczy tego oryginalnego młynu musiał być zdania, że potrzeba jeszcze więcej potrafi, bo umie wodę z wiatrem zaprządz w jednę parę i zapędzić do pracy na pożytek ludzi.

Pomysł już zdaleka wyglądający tak praktycznie nie mógł nie zwrócić uwagi praktycznego młodzieńca. Jakoż w istocie, z głębi powozu dały się wkrótce słyszeć słowa:

— Walenty! zwrócisz na prawo...

Walenty się obejrzał, rzucił potem okiem na drogę, na którą mu zjechać kazano, następnie rozpatrzył się po okolicy, jak gdyby czegoś szukał, i wzrok jego także zatrzymał się na owym młynie. Widocznie zrozumiał, o co panu chodziło, bo wskazał go biczem siedzącemu obok siebie koledze i dla lepszego objaśnienia dodał wykrzyknik:

— Aha!

W parę minut potem nasz pasażer oglądał już budowlę, która go zaciekawiła, a oglądał okiem człowieka, który się zna, którego każdy szczegół interesuje, bo o każdym wydać potrafi zdanie, nie pozbawione pewnej gruntownej podstawy.

We młynie podróżny znalazł doskonałego cicerona w pięćdziesięciokilkoletnim człowieku, ubranym w dosyć wytarty i pomimo lata watowany surdut. Człowiek ten udzielił mu najuprzejmiej wszelkich objaśnień, okazując przytem doskonałą znajomość rzeczy, i uśmiechał się pod wąsem, ile razy gość niespodziewany zatytułował go „panem młynarzem.“ To prawda, że jak na młynarza przewodnik ten zamało był umączony... mąka i to mąka przesiana przez pytel czasu, ubieliła mu tylko sumiaste wąsy i czuprynę, która była tak gęstą, że można było śmiało powiedzieć, iż nie było nigdy wolą Bożą, żeby temu człowiekowi spadł kiedykolwiek włos z głowy.

Obejrzawszy dzieło i pochwaliwszy praktyczność nietylko pomysłu, ale i wykonania, nasz podróżny postanowił dowiedzieć się, kto był jego autorem. Oczywiście postępował trybem wprost przeciwnym manipulacyi wielu naszych krytyków, którzy wprzód patrzą, kto książkę napisał, a potem, chociaż jeszcze do niej nie zajrzeli, już wiedzą napewno, czy ją chwalić czy ganić będą.

— Czy pomysł tego młyna — zagadnął praktyczny młodzieniec swego przewodnika — jest zkąd naśladowanym, czy oryginalnym?.. nie wiadomo panu, panie młynarzu?..

— Hm! nie wiem — odpowiedział cicerone — może gdzie jeszcze takie młyny istnieją, ale ten, co tutejszy budował, o żadnym nie wie i sam to sobie wymyślił...

— W takim razie mogę mu przyznać, że zna się i na mechanice i na budownictwie... zdolności takiego człowieka nie powinny się marnować... któż to jest?..

— Ja panie — odpowiedział z uśmiechem przewodnik.

— Miło mi, że mogłem oddać sprawiedliwość dziełu nie wiedząc, że mówię z autorem... Czy młyn ten należy do pana, czy też do właściciela tych dóbr, panie młynarzu?..

— I do jednego i do drugiego razem...

— Zatem właściciel za pomysł i wybudowanie przypuścił pana do współwłasności budynku?.. mojem zdaniem jestto rozsądnie pomyślana spółka.

— Zgadzam się z panem — odrzekł uśmiechając się znowu siwy cicerone — że takie spółki są pożyteczne i że na tej drodze kapitał z pracą łączyć się powinien, aby obu nie była krzywda... ale w tym młynie podobna spółka nie istnieje...

— Jakto panie... młynarzu?..

— Bo ja sam jestem właścicielem i dóbr i młyna...

Praktyczny młodzieniec zmieszał się trochę i chciał przepraszać za swoję pomyłkę, ale starzec w wytartym surducie przerwał mu prędko te ekskuzy.

— Mój panie — rzekł — sądzę, żeś mnie pan o tyle poznał z naszej rozmowy, iż nie przypuszczasz, żebym się mógł gniewać, gdy mnie kto weźmie za człowieka pracy. Mojem zdaniem ci się tylko wstydzić powinni, którzy nie mają prawa do tego tytułu...

— A ja znów sądę, że mi pan uwierzysz, iż te przekonania szczerze podzielam... i że prawdziwie się cieszę, iż mogłem poznać człowieka, głoszącego takie zasady... Dlatego może mi pan nie weźmiesz za złe, że skorzystam ze sposobności, która mi się nastręczyła, i bliżej poznam gospodarstwo pańskie, które pod kierunkiem męża takiego, jak pan, musi przedstawiać wiele nauczających szczegółów dla młodego jak ja człowieka, mającego fortunę i nie chcącego niegodnie nosić tytułu obywatela. Jestem Ludwik Sternicki z Moracina.

— Hrabia? — zapytał stary — któremu znane w owych okolicach nazwisko Sternickich nieraz obijało się o uszy.

— Tak jest, panie, a przytem skończony agronom —

odrzekł podróżny — dodając tytuł zarobiony własną pracą do odziedziczonego po przodkach, może dla nieurażenia jakich domniemanych uprzedeń przeciw arystokracyi swego interlokutora, a może dlatego, iż jako praktyczny człowiek więcej przywiązywał wagi do tytułu, który więcej przynosi, niż do tego, który na większe naraża wydatki, choć umiejętnie używany może się także nieźle procentować.

Starzec spojrzał na młodzieńca, jakby mu się nie mogło coś pomieścić w głowie, potem rzucił okiem na służbę, powóz, konie i uprząż swojego gościa, i na jego twarzy jeszcze większe się malowało zdziwienie.

— Będąc hrabią — rzekł po francuzku, gdyż nie chciał być zrozumianym przez służbę, która znajdowała się blisko— pozwalasz pan swym służącym mówić do siebie: „panie“, jak zwyczajny śmiertelnik?

— Rzeczywiście — odpowiedział Ludwik tymże samym językiem — nie prowadzę domu po hrabsku... obliczyłem, że mnie przezto utrzymanie kosztuje mniej o dziesięć tysięcy rocznie, a mam takie same wygody...

— Ależ w naszej okolicy okrzykniętoby pana oryginałem.

— Któż mi zaręczy, że i w mojej nie dają mi tego nazwiska za oczyma?.. Nie wiem jednak, czy bardzo bać się go potrzeba, i czy nie niebezpieczniej być nazwanym kopią?

— To prawda!.. Otóż pierwszy człowiek, który się nie lęka nazwy, którą i mnie dają, jak się domyślam, chociaż z nieco inakszych niż panu powodów. No, ale kiedy jesteśmy oryginałami, reprezentującymi z niezwykłej strony dwa pokolenia, mamy jeszcze jeden powód poznania się bliżej, i dlatego darujesz pan, że pana tak łatwo nie wypuszczę od siebie, tembardziej, że dobra wola pańska chce mi trochę czasu poświęcić. Jestem Damian Jawski, dziedzic tej wioski...

— Która się nazywa?..

— Gromnice — odpowiedział pan Damian — jak naturalnie za niego wszyscy czytelnicy już dawno odpowiedziećby mogli.

Tym sposobem pod dach gromnicki, bez złamania koła, które w tylu powieściach wprowadzało już bohaterów do domu rodziców bohaterek, został wprowadzonym nasz przeznaczony do odgrywania triste figure podróżny, który miał lat dwadzieścia kilka, a był praktycznym, znajdując się sam nie ziewał, i będąc hrabią przez oszczędność nie prowadził domu po hrabsku, a w dodatku prawie cieszył się z tego, że go nazwano oryginałem, czyli jednem słowem jak na pierwszego kochanka w powieści posiadał tyle wad, ileby ich miał na pierwszego kochanka scenicznego młodzieniec pulchny jak pączek, z kabłąkowatemi nogami, niskiego wzrostu, z oczyma à fleur de tête, mający głos piskliwy, włosy stojące jak szczecina, i ubierający się do roli salonowego Romea w kraciastą kamizelkę i w żółte z białym lampasem ineksprymable.

Nieprawdaż, piękne czytelniczki?..

IV.

Takim sposobem w Gromnicach zainstalował się gość niespodziewany, którego pobyt miał zrazu trwać tylko do następnego dnia, ale się jakoś niechcący przedłużył. Trzeba bowiem było, że Ludwik zapytany przez pana Damiana o powód i kres swojej podróży, chociaż z początku napomykał o jakichś interesach w okolicy, w końcu jednak przyznał się i wyspowiadał, że wycieczka jego nie miała innego celu prócz „poznania kraju.“ W głowie pana Damiana, którego niedarmo nazywano oryginałem, pomieściło się dosyć łatwo, że człowiek praktyczny odbywał długą podróż jedynie dlatego, żeby nie potrzebował się rumienić sam przed sobą, że poznał obce kraje, a nie zna swej rodzinnej ziemi. W takiej jednak podróży nie ma powodu się spieszyć i nic nie przeszkadza zatrzymać się nieco dłużej w jakiej upodobanej okolicy. Oparty na tym argumencie, pan Damian łatwo wymógł na swoim gościu, w którym się od pierwszej rozmowy formalnie zakochał, przyzwolenie na dłuższy pobyt w Gromnicach, zkąd prawie codzień robili jakąś wycieczkę w sąsiedztwa, gdzie pan Jawski znajdował zawsze coś ciekawego do pokazania interesującemu się wszelkiemi objawami postępu młodzieńcowi.

Jeżeli jednak w oczach samego dziedzica Gromnic i architekta wietrzno-wodnego młyna podany przez Ludwika powód podróży wydawał się zupełnie naturalnym, inne osoby zamieszkujące dwór gromnicki cokolwiek inaczej zapatrywały się na to nagłe zjawienie się młodego człowieka, z znaczną fortuną, pod skromnym dachem szlacheckiego domu.

Przedewszystkiem nie wierzyła w to pani Jawska, osoba, której jeszcze nie znamy, a z którą z wielu przyczyn zapoznać się powinniśmy.

Była to jedna z tych istot, nie tak rzadkich, jak się może komu na pierwszy rzut oka wydawać, które nie przyznają się nigdy nawet same przed sobą, że są bodaj na chwilę zadowolone i szczęśliwe, lecz którym zdaje się zawsze, że je ciągle los prześladuje. Gdyby jej za czasów panieńskich pozostawiono wolną wolę, byłaby najniezawodniej została starą panną, nie dla jakiegoś wrodzonego wstrętu do stanu małżeńskiego, ale dlatego tylko, że gdy sobie dziś wymarzyła jaką partyą, a jutro się ta partya zjawiła, ona już z niej nie była zadowoloną, ale marzyła o świetniejszej. Taką drogą postępowała wszędzie i ze wszystkiem w swem życiu, pełna zawsze pragnień i pociągów dalej idących, niż pozwalały rzeczywiste stosunki, a tem samem niezaspakajanych nigdy. Zamiast się cieszyć rozsądnem i spokojnem, ale stałem i silnem przywiązaniem męża, czuła się pokrzywdzoną, że jej los nie uczynił przedmiotem jakiegoś romantycznego i szalejącego uczucia; zamiast całe szczęście macierzyńskie znaleźć w ukochanej jedynaczce, bolała w duchu nad tem, że prócz tej jedynaczki los jej nie dał syna. W Gromnicach, dzięki gospo-

darnej zabiegłości męża, wiodło się dobrze, dochodów starczyło na życie dostatnie; ona wzdychała za książęcem. Koło Stelli kręcili się młodzi ludzie z fortuną, pozycyą, charakterem, sama ich nieraz upatrywała i wzdychała, żeby się przybliżyli, mówiąc sobie w duchu: „oto ten byłby dla Stelci“; ale gdy się który pokazał i wyraźniej swe zamiary dał poznać, stygła dlań zaraz i oglądała się za lepszym.

Mimo tej wady charakteru, tej nieumiejętności powiedzenia sobie „dosyć“ i położenia zakresu fantazyi, pani Jawska nie była osobą nieznośną w towarzystwie, ani też w domowem pożyciu. Przypisać to należy tej szczęśliwej okoliczności, że nie weszło jej w nałóg objawianie na zewnątrz owych niezaspokojonych pragnień, których pełna była jej dusza. Nie skargami i utyskiwaniami na losy, ale postępowaniem wyrażała się ta choroba, co ją czyniło nieraz niekonsekwentną i dawało pozór kapryśnej, ale znośniejszem było zawsze od ciągłego jęczenia i narzekania na tyranią losu. W towarzystwie, mimo to, umiała być wesołą, w obejściu z domownikami łagodną, z mężem i córką kochającą i wylaną, a nawet, choć w trzydziestym piątym czy szóstym roku życia już nie myślała gonić za hołdami młodzieży i czynić podbojów w sercach męskich, potrafiła sobie ujmować tę młodzież uprzejmym uśmiechem, który jeszcze zachował wiele z swej przeddwudziestoletniej mocy, i spojrzeniem, w którem jeszcze nie wszystkie przeddwudziestoletnie blaski wygasły.

Pani Jawska zatem pierwsza powiedziała sobie, że w całej historyi Ludwika o podróży w celu poznania kraju nie było ani krzty prawdy. Młody hrabia nie dla samego młyna musiał się zatrzymać w Gromnicach, a przynajmniej, gdyby się był zatrzymał dla młyna, nie byłby się dał nakłonić, ażeby pozostać dłużej. Przed przyjazdem jego tytułowany i bogaty jaki młodzieniec zdawał się jej najodpowiedniejszą partyą dla córki, pierwsza też zrobiła przypuszczenie, że w arystokratycznym oryginale los jej taką partyą przysyła. Był to jednak domysł i nic więcej, była to niepewność, i dopóki w rzeczywistość się nie zmieniła, wystarczała dla niej zupełnie. Nie zwierzając się przed nikim z swego marzenia, starała się więc ująć Ludwika, zbliżyć go z córką, ułatwić dojrzenie uczucia, które według jej przypuszczeń gość niespodziewany bodaj w zarodku przywieźć już musiał do Gromnic w swej duszy.

Drugą niedowierzającą w mniemane powody krajowego wojażu Sternickiego była Marynia. I jej się także zdawało, że ów młyn był tylko zamówką, że hrabia słyszał coś o Stelli, że ją zapragnął zobaczyć i poznać, a byle tylko zobaczył i poznał, już nie było wątpliwości, przynajmniej dla Maryni, że się zakocha i pozostanie na dłużej. Przedłużony rzeczywiście pobyt Ludwika utwierdził ją jeszcze w tem przekonaniu...

Co do Stelli, ta podobnież jak ojciec wierzyła w przypadkowe przybycie gościa, ale tylko do chwili, póki się z nim nie zobaczyła w salonie. Gdy go spostrzegła, zmieszała się cokolwiek. Nie była pewną, czy we śnie, czy gdzie przypadkowo w przejeździe, czy na jakim balu lub zabawie publicznej, czy w kościele, czy w sztychach lub na obrazie jakiego mistrza, dość że widziała i zapamiętała tę twarz, te piękne męskie rysy, przy których zgasnąć musiała niezaprzeczona zkądinąd szlachetna przystojność panów Ignacego i Juliana. Napróżno szukała w główce swojej, gdzie jej oczy mogły zrobić znajomość z temi rysami, pamięć wypowiadała posłuszeństwo, a raczej bałamuciła ją jeszcze bardziej, bo wyraźnie mówiła, że choć oku twarz znajoma, ucho nie słyszało nigdy dźwięku tego metalicznego, silnego i pełnego głosu, jakim do niej Ludwik przemawiał. Zdarza się niekiedy, że na nas twarz jakaś wdziękiem lub charakterystyką swoją zrobi wrażenie, że ją następnie pamięć prawie na każde zawołanie uprzytomnia, że się z nią oswajamy niejako. Tutaj tego nie było. Stella była pewną, że twarz pana Ludwika widziała raz jeden w życiu, że o niej nigdy nie myślała potem, i że dopiero teraz, gdy ją zobaczyła powtórnie, zbudziło się w jej pamięci dawniejsze zapomniane wrażenie. Zdawało jej się przytem, że i młody hrabia spojrzał na nią nie tak, jak się patrzy na osobę, którą się po raz pierwszy widzi, a skombinowawszy to spostrzeżenie z swojem nieokreślonem i niedokładnem przypomnieniem, doszła i ona do wniosku, że w przyjeździe hrabiego do Gromnic gra rolę coś więcej, prócz młyna.

Dwie przyjaciółki były z sobą na zbyt dobrej i otwartej stopie, żeby sobie wzajem miały nie udzielić swych myśli.

Stało się to zaraz nazajutrz po rozmowie, którąśmy powieść naszę rozpoczęli, w tym samym pokoiku, gdzieśmy je obydwie poznali.

— Coś mi się zdaje Stelciu — zagnęła pierwsza Marynia — że trudno o szczęśliwszą od ciebie istotę...

— No, no, z jakiegoż to powodu? — zapytała niby nie domyślając się Stella — ja o niczem szczęśliwem nie wiem.

— Ba!.. nie wiesz... a oczyny spuszczasz i raki pieczesz...

— Wmawiasz we mnie, Maryniu.,. doprawdy nie domyślam się nawet, o czem chcesz mówić...

— Nie udawaj!... Ledwieś mi się wyspowiadała, jakim jest twój ideał, ten ideał zajeżdża przede dwór, wysiada z powozu i składa ci swoje uszanowanie.

— To jest niby kto? — roześmiała się, gwałtem nie chcąc zrozumieć dziewczyna.

— A któż wczoraj przyjechał?

— No, Strzępski, dzierzawca z Grządek...

— A! Strzępski... zapomniałam... on, on właśnie... jest idealnie ospowaty i dziwnie pięknie przez nos mówi...



Modrzejewska w roli Ofelii (st. 5[illegible])

— Widzę, że i ty, Maniu, potrafisz być złośliwą, kiedy chcesz, filozofko — pogroziła jej paluszkiem na nosku Stella.

— A ty szczebiotko, potrafisz nie mówić, o czem nie chcesz — odpowiedziała Marynia — więc dobrze, mówmy o czem innem...

— Gniewasz się? — ucałowała ją przyjaciółka — no, przepraszam cię... właściwie nawet mówić o tem powinnam, bo mnie ciekawi, dlaczego tego hrabiego nazwałeś moim ideałem.

— Zgadza się zupełnie z rysopisem, jaki podałaś wczoraj, w chwili większej szczerości niż dzisiejsza... Jest dwa razy przystojniejszy od pana Juliana...

— A od pana Ignacego z półtrzecia raza.

— Bogatszy pewno od nich obu razem...

— To się rozumie... Krezus... milioner niezawodnie...

— I do tego hrabia...

— Do tego hrabia... oczywisty ideał... kubek w kubek do mojego podobny, gdyby nie jedna straszna, ukryta wada...

— Taka widoczna, żeś ją odrazu spostrzedz mogła?.

— Oczywiście, żem odrazu spostrzegła, i dziwię ci się nawet, że ty jej nie widzisz.

— Ciekawam co takiego?.. Może za wysoki?..

— Gdzie tam, w samą miarę... Właśnie takiego wzrostu jak potrzeba, żeby mógł być zawerbowanym do korpusu ideałów... ale... mój ideał, widzisz, przedewszystkiem powinien zakochać się we mnie, a ten oryginał zakochał się we młynie, zbudowanym przez mego ojca.

— Więc ty seryo wierzysz w ten młyn?...

— Czy mam ci się przyznać koniecznie?...

— Spróbuj się zaprzeć, jeźli możesz...

— A no, to nie będę próbowała... nie wierzę.

— I poszłabyś za niego?..

— O! o! o! zaraz poszła!.. jaka ty prędka jesteś, Marynieczko!.. zaraz poszła!... Gdyby się oświadczył... gdyby ojciec i mama pozwolili... to jeszcze co innego... ale tak...

Było to powiedziane z taką figlarną minką, że choćby zaraz za to śliczną dziewczynę uściskać. Marynia też uśmiechnęła się z początku, ale potem spoważniała nagle i rzekła:

— Jestem starszą od ciebie Stello, i muszę ci powiedzieć, choćbyś się obrazić miała, że jesteś bardzo lekkomyślną i dziecinnie patrzysz na życie.

Nie domówiła jeszcze, a Stella już klasnęła w rączki i odpowiadać jej zaczęła:

— Lekkomyślna!.. jak ty mnie doskonale oceniłaś, Maryniu złota... tak... ja to sama widzę... jeszcze nigdy w życiu żadnej cięższej myśli nie miałam... nie wiem nawet, jak to wygląda, czuję, że głowa moja nieudźwignęłaby nic podobnego... Ale powiedz mi, jeżeli mnie szczerze kochasz, czy to jest doprawdy co złego?... Coby mi z tego przyszło, gdybym wszystko rozważała gruntownie, filozoficznie, brała pour i contre każdej rzeczy?.. Oto psułabym sobie szczęście, jak to dziecko, któremu kupiono bębenek, i które chce zobaczyć, co to w nim w środku tak huczy i dudni...

— Szczęśliwe usposobienie!.. czy sądzisz jednak, że ci go na zawsze wystarczy?.. że duch twój nie zatęskni kiedyś za poważniejszą karmią, jak owe dziecko, o którem mówiłaś, gdyby je karmelkami tylko karmiono, zatęsknićby musiało za chlebem?,.

— No, to i cóż? — odparła bez namysłu Stella — jak duch zatęskni, to będę myślała poważnie, a teraz nie widzę potrzeby... teraz czuję, że dochodzę do tej epoki, w której ma się dla mnie otworzyć świat, nowy, wesoły, szeroki, swobodny; że w ten świat wstąpię z człowiekiem, ktory mi najwięcej jego czarów będzie mógł odsłonić, i że... jakby to nazwać, żywa wdzięczność dla takiego przewodnika nie będzie ani zbytecznem, ani też nagannem uczuciem...

— Innemi słowy mówiąc, czujesz, żeś się zakochała w panu Ludwiku?... nieprawdzaż?..

— Znowu sąd zapospieszny, wierzaj mi, Maniu... Dotąd wiem tylko, że jeźli zechcę, to pan Ludwik będzie tańczył niegorzej niż pan Ignacy i pan Julian.

— I wiesz, że zechcesz?.. wszak prawda?..

— Pokaż ty mi, moja droga, kobietę... oprócz siebie, rozumie się, bo ty jesteś jedynym na świecie wyjątkiem, którego zatem liczyć niepodobna... ale pokaż mi aby jednę taką, któraby wiedząc, że jeźli spojrzy na mężczyznę, mężczyzna ten oszaleje dla niej, umyślnie odwróciła od niego oczy?

— Każdy sądzi podług siebie, moja Stelciu — z powagą odrzekła Marynia — dlatego ty sądzisz, że takich nie ma, a ja, że o takie nietrudno... Bądź co bądź z takiem usposobieniem i z takiemi zasadami, możesz być pewną, że się dla wielu staniesz źródłem nieszczęścia w ich życiu, a czy przezto sama będziesz szczęśliwą... ja nie wiem.

Stella chciała się już rozdąsać na puhaczową wróżbę przyjaciółki, ale jedna z tych tysiącznych przeszkód domowych, które nietylko tylu rozmów lecz i tylu prac w życiu dokończyć nie pozwalają, stanęła temu na zawadzie.

W kwadrans potem całe towarzystwo gromnickie wraz z gościem znajdowało się już w ogrodzie wesołą zajęte pogadanką. W ciągu tej pogadanki, połączonej z przechadzką, Sternicki po raz pierwszy od zabrania znajomości, znalazł się w większem cokolwiek oddaleniu od reszty towarzystwa, prawie sam na sam ze Stellą. Może polował na tę sposobność, może mu ją nieproszony przypadek nastręczył, dość, że z niej skorzystał natychmiast.

Bardzo zręcznie zwrócił rozmowę na przedmiot, który w tej chwili najwięcej zajmował myśl Stelli.

— Czy się pani nie zdaje — rzekł — że my z panią niezupełnie nieznajomi jesteśmy?..

Pytanie było dosyć dziwne. Gdyby Ludwik nie był naprawdę chociaż trochę oryginałem, nie byłby go sobie pozwolił. Odwoływać się do pamięci jakiegoś dawniejszego spotkania, które musiało być krótkiem i przelotnem, ponieważ tak słabe i przygasłe pozostawiło po sobie wrażenie, brać na konfesaty pamięć osoby młodej i pięknej, która w tym wypadku prawdopobobnie wcale do pamiętania obowiązaną nie była, nikt nie zaprzeczy, że to taktyka niekoniecznie zręczna, szczególniej dla młodego człowieka, mającego pewne zamiary, lub też uczuwającego pierwsze objawy tego wyjątkowego stanu serca, który nazywamy miłością. Proste i suche „nie“ byłoby najspodziewańszą odpowiedzią na takie zapytanie, i najsłuszniejszą karą za niejaką zarozumiałość, która się w niem objawiła.

Taki zwrot rozmowy doprowadziłby jednak bardzo łatwo do nierozwiązania zagadki, która zajmowała myśl Stelli; domyślimy się zatem łatwo, że nie w ten sposób przyjęła zapytanie hrabiego.

— W istocie — przyznała — zobaczywszy tu pana po raz pierwszy, wydało mi się, że rysy pańskie nie są mi obce, żem już kiedyś musiała mieć przyjemność...

— Lecz pani nie przypomina sobie zupełnie, gdzie to było?...

— Mimo całej usilności...

— Ja to najdokładniej pamiętam. Było to przed rokiem, w czasie jarmarku wełnianego w Warszawie. Szedłem przez Saski ogród w pewnem znajomem towarzystwie, główną aleją, jak pani wiadomo, zamieniającą się w pewnych godzinach w miejsce schadzki eleganckiego świata stolicy. Pomiędzy tysiącem pięknych twarzy, o które w Warszawie nie trudno, nie myślałam w owej chwili wybierać żadnej. Towarzystwo, w którem się znajdowałem, rozmowa, jakąśmy prowadzili, wszystko to pochłaniało zupełnie moję uwagę. Zdarzyło się jednakże, iż na krótszą niż mgnienie oka chwilę zupełnie przypadkowo wzrok mój spotkał się ze spojrzeniem przecudnego ciemnego oka, które brylantowym świeciło ogniem.

— Panie hrabio — przerwała Stella.

— Spojrzenie to, było spojrzeniem pani — mówił dalej nie dający się zbić z tropu Sternicki — i gdyby mi podobna było odłączyć się od towarzystwa, w którem się znajdowałem, byłbym pobiegł za panią i nie spoczął, dopókibym się nie dowiedział, kto jesteś. Magnes jakiś znajdował się w tym wzroku, który mnie pociągał i pociągał i porywał. Komwenanse towarzyskie jednakże są od wszelkich magnesów silniejsze. Nimby mi się udało w sposób nierażący usunąć się od tych, z którymi byłem, jużbyś pani oddawna znikła w tłumie przechadzających się po ogrodzie. Zostałem zatem, ale zostałem przekonany, że z tem spojrzeniem, które mi aż w głąb duszy zajrzało i w głębię swojej własnej spojrzeć pozwoliło, spotkam się jeszcze w mojem życiu. Prawda, że chciałem trochę ulżyć przypadkowi, żem był nazajutrz o tej samej porze w ogrodzie, że pełno mnie było i na pryncypalnych ulicach miasta i wszędzie, gdzie się lepsze towarzystwo zbierać zwykło. Przez tydzień jednak nie spotkałem pani nigdzie. Po tygodniu powróciłem do siebie, nie dając za wygraną mojej nadziei, ale powiedziawszy sobie, że fataliści mają racyą, że co się ma stać, stać się musi, i że siedząc w Moracinie tak samo się doczekam spotkania z panią, jakbym panią ścigał po całym świecie. Tego fatalizmu wystarczyło mi na rok blisko, teraz jednak przestałem mu ufać i puściłem się w podróż po kraju, którą zaraz w trzecim dniu drogi cel moich życzeń mi nagrodził. Spotkałem panią...

— I przekonałeś się pan, że to, coś w moich oczach przypadkowo spostrzegł, można widzieć codziennie w oczach każdej innej?.. Nieprawdaż, panie hrabio?.. Wiem doskonale, że mi pan zaprzeczysz... grzeczność nie pozwala się przyznać do takich rzeczy... ale...

To mówiąc Stella podniosła oczy na hrabiego i spostrzegła w jego wzroku tyle ognia i tyle szczęścia, że mimowolnie spuściła wzrok swój w ziemię spłoniona.

Reszta towarzystwa przyłączyła się do nich, dalszej rozmowy o tym przedmiocie już nie było, ale czyż to, co usłyszała, nie było dosyć wymownem?.. Przy dobrej woli słowa Ludwika wziąć można było za oświadczenie formalne. Stella uparcie nie chciała im nadać tak daleko idącego znaczenia, ale jakkolwiek wytrwale opierała się tej myśli, powracała ona natrętnie i kładła jej do uszka zaledwie dosłyszalne wyrazy, na których brzmienie serce jej uderzało gwałtowniej, dwa maleńkie słówka:

On twój!.. (C. d. n.)

Sztandar.

Za nasz proporzec druhowie młodzi,
Niech młody zapał nam służy!
Niech on nam w walce z życiem przewodzi,
Rozpierzchłych skupia, waśnionych godzi,
Kotwicą stanie się w burzy!

Niechaj on dla nas jak jutrznia świeci,
Gołębiem będzie pożaru...
Pod jego godło niechaj się zleci
Ta rozprószona drużyna dzieci,
Co dotąd nie ma sztandaru!

Niech on nad skronią naszą powieje
Jak orzeł skrzydły srebrnemi!
W sercach wątpiących zbudzi nadzieję,
Iskrę wykrzesze z lodu — i wleje
W pierś błędnej dziatwy tej ziemi!

Niechaj on garnie, co zacne, prawe,
Niech prawdy strzeże i broni...
Z nim poczynajmy codzienną sprawę,
Miejmy w nim tarczę, miejmy w nim nawę,
Co nas z rozbicia uchroni.

Nieśmy go górą! — Niech on nam wieści,
O dawnym duchu ofiary...
Nieśmy go wiernie w łzach i w boleści,
Lecz go ratujmy z krwi i z bezcześci,
Jako Rzymianin swe lary!

W nim czerpmy siłę, on nas podeprze,
On cel da wszelkim zamiarom...
Z nim pójdziem w czasy jaśniejsze, lepsze...
A głos tysiąców eter rozeprze
Cześć bijąc takim sztandarom.

Władysław Bełza.

Lwów 5. grudnia 1871.

Podczas bitwy.

(Obacz rycinę na stronnicy 40.)

Wre bitwa w głębi puszczy; otoczony śród lasu oddział powstańczy przebija się przez zastępy moskiewskie, drogo sprzedając swe życie; padają liczne ofiary z obu stron, powietrze i ziemia drżą od huku dział, szczęku broni i wrzawy walczących, a tysiączne echa śród lasu wtorują niby hymn grobowy temu strasznemu dziełu zniszczenia i mordu... Tego wszystkiego nie widać na rycinie, ale któż nie odgadnie tego na pierwsze wejrzenie? Sam krajobraz, otchniony wyrazem ponurej grozy, każe domyślać się rzeczy okropnych, cała natura zdaje się być przerażona, a ów granat pękający w głębi, owe kłęby dymu, osłaniające widownię walki, ta para osiodłanych rumaków, która przed chwilą jeszcze stała w szeregu, a teraz utraciwszy swych jeźdców ucieka przerażona i niewstrzymana żadnemi przeszkodami, jak gdyby czuła za sobą stado wilków, czyż akcesorya te, na pozór małoznaczące, nie mówią więcej, niż całe pobojowisko zasłane trupami i rannymi? Jestto zaprawdę pomysł bardzo szczęśliwy i piękny, gdzie artysta, świadomy zupełnie potęgi obrazowanej poezyi, małemi środkami wielkich dokonywa rzeczy.

Autorem tej ryciny jest M. Martynów, a drzeworyt jest dłuta p. Zenona Szymańskiego.

Modrzejewska w roli Ofelii.

(Obacz rycinę na stronnicy 53.)

Któż z nas nie podziwiał jej mistrzowskiej gry w tej najsympatyczniejszej, a oraz najtrudniejszej pono z ról kobiecych w dramatach Szekspira? Postać Ofelii jest w wysokim stopniu zidealizowana, osobliwie w fazie obłąkania, i właśnie dlatego potrzeba wielkiego artyzmu i niepospolitej rutyny do należytego jej przedstawienia, ażeby z jednej strony nie uronić nic z poetycznego kolorytu, jaki nadał jej autor, a z drugiej nie przekroczyć granicy naturalności i prawdy, od której głównie zawisła wartość dramatu. P. Modrzejewska umiała po mistrzowsku połączyć obadwa te warunki, i myśl poety przedstawiła w tak doskonałej formie, że zapewnie i sam autor nie miałby jej nic do zarzucenia. Widzieliśmy ją kilka razy w tej roli, i zawsze wychodziliśmy z przedstawienia oczarowani jej grą i do łez rozrzewnieni, a takie same wrażenie sprawiała ona na scenach w Krakowie i w Warszawie. Szczególnie scena czwarta aktu IV., gdy rozpacz i ból rozdartego serca dziewicy wylewa się w skargach szalonej extazy, gdy spiewa:

Któż mi powie, cni drużbowie,
Gdzie kochanek mój?
Kij, sandały, z konch nagłowie,
Ach to dziwny strój —

i gdy na pytanie królowej, co znaczy ten spiew, odpowiada:

Ja nie spiewam; płaczę...

stanowi — że tak powiemy — punkt kulminacyjny jej gry; i ten właśnie moment obrał jeden z artystów warszawskich, by go utrwalić bardzo udatną i piękną ryciną; a my podaliśmy ją w przekonaniu, że sprawimy tem przyjemność nie tylko wielbicielom artystki, ale i w ogóle miłośnikom sztuki.

Kronika literacka i artystyczna.

Lwów, 8. lutego 1872.

(Nie-karnawał. — Komitet oświaty. — Odczyty publiczne. — Teatr. — Przesilenie teatralne i muzyczne. — Produkcye Towarzystwa muzycznego. — Nowe czasopisma i książki).

Kończymy porę tyle zazwyczaj ożywioną w życiu towarzyskiem i publicznem, a kończymy tak jak ją rozpoczęliśmy: ciszą... tą matką skupienia duchowego i harmonii. Już to przypuściwszy nawet, że oprócz moralnego wpływu na wewnątrz równie jak na zewnątrz, nie osiągnęliśmy wstrzymaniem się w tym roku od ochoty karnawałowej żadnego praktycznego rezultatu, przypuściwszy, że zaoszczędzenie „czasu i atłasu“ na mijającym karnawale nie jest tak znaczną korzyścią w ostatnim kierunku, aby ją w rachunku ekonomii publicznej położyć można, w samemże przezwyciężeniu owej skorej do ochoty natury lechickiej i solidarności, do jakiej cały naród poczuł się w tej, aczkolwiek skromniutkiej abnegacyi, szukać należy jej właściwego znaczenia i dodatniej strony. Umiejący uszanować własne nieszczęście tem słuszniej wymagać dlań może uszanowania od innych, tem pewniej liczyć na przełamanie fatalnych losów.

Świetny w całem tego słowa znaczeniu projekt wywołała tu chęć godnego uczczenia pamiątki rozbioru ojczyzny. Oto grono obywateli tutejszych zawiązało się w komitet, stawiając sobie za zadanie zbieranie w całym kraju groszowych ofiar na cele podniesienia oświaty i dobrobytu ludowego, a to sposobami, jakie poczucie istotnej potrzeby w tej mierze uzna za najodpowiedniejsze. Uczyniona już w tej myśli odezwa do umysłów patryocznych; mianowani delegaci do zajmowania się składkami; wystawione skarbonki w domach publicznych, magazynach handlowych, równie jak w szkołach i kościołach. Spieszcie, spieszcie Polacy z najskromniejszemi choćby datkami na cele podniesienia oświaty i dobrobytu ludowego! Wszak to są jedyne spójnie rozszarpanych, jedyne dźwignie obalonych i gniecionych!

Szukający zresztą bądźcobądź rozrywek w porze karnawałowej, nie miał tu podobnoś powodu wyrzekania na złą gwiazdę roku 1872 — przeciwnie, mógł podostatkiem znaleźć sposobności do rozerwania umysłu, nie w sali balowej wprawdzie, lecz teatralnej, koncertowej i w sali zajmujących odczytów na cele dobroczynne, których szereg rozpoczął d. 4. lutego prof. dr. A. Małecki rzeczą „O runach Słowiańskich.“ W wysokim stopniu ciekawy odczyt ten obznajomił bliżej szerszą publiczność z owym światem zmierzchu, którego ślady znajdujemy dziś w licznych wykopaliskach, mianowicie w okolicach Nakła, i promieniem wiedzy i doświadczenia rozwidnił nad nim pomrok wiekowy, zagęszczony złą wiarą i mistyfikacyą. Zapowiedziane mamy dalsze odczyty pp. Władysława Łozińskiego, Stanisława hr. Tarnowskiego i t. d.

W teatrze widzieliśmy ostatniemi czasy parę nowych oryginalnych utworów scenicznych, z których jednak żaden nie wywalczył sobie stanowiska w repertoarzu; tak bowiem Huragan, pseudokomedya, i wodwil jakiś o angielskim tytule p. A. Urbańskiego, jak i Czarodziejka, dramat bez żadnego wyrazu p. L. Starzeńskiego, nie przechodzą wcale miary najsurowszych płodów muzy dramatycznej. — Nagrodzona drugą premią na zeszłorocznym konkursie krakowskim komedya p. M. Bałuckiego p. t. Pracowici Próżniacy, którą przedstawiono tu w połowie stycznia, pod względem artystycznym i literackim jest utworem bardzo miernym i usprawiedliwia całkiem zastrzeżenie komisyi konkursowej w swoim czasie ogłoszone w sprawozdaniu z jej czynności, jako: „zachętą raczej niż uwieńczeniem są nagrody udzielone autorom Epidemii i i Pracowitych Próżniaków.“ — Z nowin teatralnych mamy też do zaznaczenia kilkakrotny występ pana Lecha Nowakowskiego, który podobnoś stale znów zamierza służyć Melpomenie lwowskiej, gdzie dobrze ugruntowaną posiada z dawna sympatyą. Miejmy nadzieję, że ze zmianą dyrekcyi od Wielkiejnocy t. r. oprócz państwa Nowakowskich powitamy na scenie naszej więcej jeszcze dawnych sympatycznych znajomych, jak państwa Woleńskich, panią Aszpergerową i innych. Co się zaś tyczy tej gorączkowo oczekiwanej zmiany, głucho dotychczas jeszcze o szansach, jakie w Radzie administracyjnej teatru znajdą strony ubiegające się o tę dyrekcyą, między któremi wymieniaja głośniej: spółkę akcyjną z dyrektorem artystycznym p. Janem Królikowskim, spółkę pp. Cetnera i Łozińskiego, a podobnoś także spółkę pp. Rychtera, b. artysty teatrów warszawskich, i p. Niedzielskiego spiewaka opery. Nie długo jednak w każdym razie czekać będziemy na ostateczną decyzyą Rady administracyjnej w tej mierze, gdyż już z dniem 10. lutego upływa termin ogłoszonego na dyrekcyą teatru konkursu.

W stosunkach naszych artystycznych nastała obecnie pora stanowczych przesileń. Zaledwie bowiem dowiedziała się publiczność o ostatecznem zrezygnowaniu p. A. Miłaszewskiego z dyrekcyi teatralnej, gdy w pokrewnej sferze, bo w świecie muzycznym zaszły rzeczy, które artystycznego dyrektora naszego Towarzystwa muzycznego skłoniły do wniesienia swej rezygnacyi z tej posady. Powód do tego kroku ze strony p. Mikulego dała okoliczność zdaniem naszem nader błaha, bo nic więcej jak tylko ogłoszony w jednem z politycznych pism tutejszych namiętny, bez żadnych dat i ortografii napisany artykulik, a raczej paszkwil o wrzekomej nieudolności i złej woli naszego dyrektora muzycznego i potrzebie zreorganizowania Towarzystwa na idealnych jakichś podstawach, za jakie trzeźwo rzeczy widzący uznać musi nadzieje autora wspomnianego paszkwilu na możność przeistoczenia tegoż Towarzystwa w formalne konserwatoryum muzyczne z Moniuszką na czele. Zkądże nagle fundusze olbrzymie potrzebne nieodbicie na utrzymanie takiej instytucyi; na czem zresztą oparta nadzieja, że Moniuszko dla miłości nieposiadającego opery narodowej Lwowa porzuciłby swoje znakomite stanowisko dyrektora orkiestry opery warszawskiej, że porzuciłby swoich zwolenników i uczniów warszawskich, do których zaliczyć można całą publiczność tamtejszą! Autor paszkwilu rzeczonego widocznie i najwidoczniej

z osobistych jedynie pobudek targnął się nietylko na artystyczną działalność, ale i na osobę p. Mikulego; wszelka z nim polemika byłaby więc niegodną sumiennego pióra; wyrazić się nam wszakże godzi przekonanie, że jakkolwiek bezwzględną, nie licząca się z stosunkami krytyka nie jedno zarzucićby mogła tak dyrektorowi, jakoteż całemu zarządowi i organizacyi naszego Towarzystwa muzycznego, jakkolwiek istotnie krytyka taka próżnoby się starała wykazać pomyślny rozwój naszych stosunków muzycznych w okresie dyrekcyi p. Mikulego, to zarzut ztąd ani bezpośrednio ani wyłącznie uczynionym być nie może dyrektorowi Towarzystwa muzycznego, już choćby z tej naturalnej przyczyny, że tenże zostaje pod decydującą w rzeczach wewnętrznej działalności Towarzystwa władzą Wydziału i walnego zgromadzenia. Żywić też należy mocną nadzieję, że sprawa rezygnacyi p. Mikulego, i złożenia w skutek tego mandatów przez wszystkich członków Wydziału, w zebrać się mającem wkrótce walnem zgromadzeniu członków rozstrzygniętą zostanie na korzyść Towarzystwa, którą upatrujemy w pozostawieniu i nadal dyrekcyi w ręku p. Mikulego, życząc wszakże Towarzystwu podjęcia zarazem co najpilniejszych reform w kierunku jego używotnienia, a mianowicie rozprzestrzenienia jego artystycznej działalności pociąganiem do udziału w takowej jak najliczniejszego zastępu uczniów i miłośników muzyki, bez żadnego względu na jakąś nieszczęsną koteryjność, panującą od dłuższego czasu w tutejszym świecie muzycznym.

Cośkolwiek uczyniło już nawet w tej mierze Towarzystwo zarządzając w swej szkole ćwiczenia śpiewu choralnego, oczywiście bezpłatne, które od 20 stycznia począwszy odbywają się co sobotę i przerabiają kwartety najznakomitszych mistrzów. Jednocześnie z temi ćwiczeniami zarządzono także tak zwane „próby przygotowawcze“ co środę odbywać się mające w tym celu, ażeby siły słabsze przysposabiać do ćwiczeń sobotnich. Kierownictwo prób środowych objął szanowny Prezes Towarzystwa p. Danek, zaś jeneralnych sobotnich dyrektor p. Mikuli. Udział dyletantów w tych ćwiczeniach jak na początek okazał się też wcale pomyślnym, do pierwszego bowiem ćwiczenia stawiło się 30 głosów. W ogóle ruch u nas muzyczny nie ucierpiał nic prawie na owem przesileniu, a dość wspomnieć, że w przeciągu kilku ostatnich tygodni Towarzystwo urządziło ośm publicznych wieczorków i koncert, na którym między innemi usłyszeliśmy w wykonaniu orkiestrowem wspaniały utwór Schuberta, instrumentowany świetnie przez Liszta p. t. „Pochód jazdy,“ tudzież Raffa „Odę do wiosny.“ W ostatnim utworze przewodniczącą partyą fortepianową z wielką precyzyą i siłą odegrał uczeń Towarzystwa p. Jarosławski.

Z nowo podjętych tu wydawnictw na szczególniejszą uwagę zasługuje tak treścią, jak i tendencyą swoją, czasopismo literackie tygodniowe p. n. Świt, którego pierwszy numer ukazał się w początkach bieżącego miesiąca. Wydawnictwem zajęły się siły młode, a na firmie spotykamy nazwiska dwóch utalentowanych akademików tutejszych pp. Zawadzkiego Bronisława i Romualda Starkla, dające poniekąd rękojmię, iż Świt zestrzeli w sobie z czasem wszystkie rozpierzchnięte promyki życia umysłowego naszej młodzieży, a oddziaływując w tym kierunku na odwrót wywierać będzie zarazem ożywczy wpływ na sferę, za organ której może być uważanym. Życzymy mu też od serca najlepszego powodzenia na tej drodze, a czytelnikom naszym zalecamy Świt do najgorętszego poparcia, ile że od przychylnego przyjęcia u publiczności najwięcej zależeć będzie wschód tego słońca, którego po świcie oczekiwać mamy prawo.

Promyk, od nowego roku wychodzący tu pod redakcyą p. Władysława Belzy, jest pisemkiem nader sympatycznem i z pewnością dla młudziutkich umysłów i uczuć jest „promykiem“ wiośnianym, ożywczym. Zaleca się to pisemko także gładką formą zewnętrzną i dobremi rycinkami.

Staraniem profesora i zastępcy kuratora zakładu Ossolińskich, dr. A. Małeckiego, wyszedł tu ostatniemi czasy z druku „Kodex dyplomatyczny Tynieckiego; część I. wiek XIII. i XIV.“ Dla badaczy dziejów i miłośników rzeczy ojczystej w ogólności dzieło nader zajmujące i cenne. Jednocześnie prawie z powyższem dziełem podana do druku „Historya Rawitów Ostrowskich“ p. L. Chodźkę niebawem ukaże się na wystawie księgarskiej, a pierwszy jej tom już podobno wydrukowany.—Nadmienim tu przy sposobności, że p. Krystyn Ostrowski wydał właśnie w Paryżu tłumaczenie swoje przepysznej tragedyi Szekspira „Antoniusz i Kleopatra“, który to utwór w tem właśnie tłumaczeniu stanąć ma wkrótce na scenie warszawskiej. Po tłumaczu „Hamleta“ mamy prawo oczekiwać, że i z tego ostatniego zadania swego wywiązał się zadawalniająco.

B. K.

Poznań w końcu styczniu 1872.

(Ambaras de richesse. Nowe książki. Polskie boje przez K. S. Bodzantowicza. Wspomnienia moje p. P. z L. Wilkońskę. Życie H. Savonaroli przez K. Kanteckiego. Poezye Teofila Lenartowicza. Maleszewskiego T. odczyt i wystawa obrazów. Szeliga i jego feleton. Kurjer Poznański. Tow. Przyjaciół Nauk. Tow. Oświaty ludowej.)

Rozpoczynając dziś kronikę ruchu literackiego i artystycznego w Poznaniu, znajduję się w prawdziwym ambaras de richesse. Większa część kolegów kronikarzy chorując na brak materyału, uczy się trudnej sztuki pisania szeroko o niczem; mnie dziś inny los przypadł w udziale, spoglądam melancholijnie na leżące przedemną obszerne notatki, bo widzę ze smutkiem, że dla braku skąpo mi wyznaczonego miejsca znaczną część starannie nagromadzonych nowin przyjdzie mi pominąć milczeniem. Nie chcąc więc próżną gadaniną zapełniać szczupłego i tak kątka w „Strzesze“, przechodzę bez zwłoki do rzeczy. W ostatnich dniach przeszłego i w pierwszych bieżącego roku wyszło w mieście naszem kilka dzieł zasługujących pod każdym względem na uwagę miłośników ojczystego piśmiennictwa. Polskie boje p. K. S. Bodzantowicza (Kajetana Suffczyńskiego), jednego z najzdolniejszych powieściopisarzy dzisiejszych, autora rozprószonych po różnych czasopismach (Bibl. War., Bibl. Ossolińskich, Dziennik liter., Przegl. polski) opowiadań, osnutych na tle naszej przeszłości, jak Kasper Cieciszowski, arcybiskup mohilewski — Opowiadanie Pani Strażnikowej — Pan Starosta Warecki — Pan Marszałek Łomżyński — Muszkieter — Fatum — i t. d., starał się w swej książce przedstawić słynną waleczność przodków naszych, którzy ufni w dobroć swej sprawy i pomoc Bożą, w puch nieraz rozbijali kil-

kakroć liczniejsze nieprzyjacielskie zastępy. Po kilku takich obrazach z odleglejszej przeszłości, do których wątek czerpał autor tylko z książek, przechodzi p. Bodzantowicz na ulubione a tak dokładnie sobie znane pole bohaterskiej walki dzielnych Barszczan z najezdniczą Moskwą, maluje dalej ciekawe, pełne życia i ciepła sceny z czasów Napoleońskich i z r. 1831. Epoka konfederacyi barskiej, zaniedbana przez historyków, a zaciemniona nadto tajemniczą mgłą legendy, osłoniętemi opowieściami o księdzu Marku i innych wybitnych postaciach ruchu — znalazła w p. Suffczyńskim równie ścisłego pod względem przytaczanych faktów, jak szczęśliwego w ich artystycznem obrobieniu malarza. Wypadki z czasów konfederacyi i wojen Napoleona opowiada autor wedle prywatnych zapisków, archiwów i silva rerum szlacheckich, jakoteż innych małoznanych rękopiśmiennych źródeł, wreszcie podług opowiadań starych ludzi, bo autor, będący już w poważnym wieku, widywał jeszcze w latach młodości aktorów konfederacyi — w bojach zaś z r. 1831 sam brał czynny udział. Opis tych walk, z niewyczerpanem poświęceniem toczonych w obronie niepodległości, urozmaica p. B. opowiadaniem zajmujących a prawdziwych przygód żołnierskich, a styl jego jędrny i czysty, akcya ożywiona, koloryt nawskróś rodzimy zapewniają dziełu stałe powodzenie. Autor, który dopiero w późniejszym wieku chwycił się pióra, ma, jak słyszymy, w swej tece kilka świeżych powieści; jedna z nich, mająca za tło czasy Kościuszkowskie, p. t. Zawsze oni (w 2 tomach) wyjdzie nakładem księgarni Żupańskiego z ilustracyami Kossaka i oryginalnemi mottami Wincentego Pola.

Szanowna autorka Ireny, p. Paulina z L. Wilkońska wydała własnym nakładem spory tomik drukowanych już poczęści w czasopismach szkiców o salonach warszawskich, p. t. Wspomnienia moje o życiu towarzyskiem w Warszawie. Jak niepodobieństwem jest dla historyka literatury odpowiedzieć swojemu zadaniu, jeźli piśmiennictwo jego nie posiada wyczerpujących monografij, tak również nigdy biograf nie oceni dostatecznie ducha i stanowiska autorów, jeźli mu w tem nie dopomogą współczesne pamiętniki lub dzieła w rodzaju p. Wilkońskiej. Anglicy, Francuzi, Niemcy, mają o życiu swoich poetów i uczonych całe biblioteki, my dotąd nie wiele prac podobnych wskazaćbyśmy mogli. P. Wilkońska obdarzona jest szczególną zaletą obserwacyi, właściwej w tym stopniu tylko kobietom — i tej to zalecie zawdzięczamy mnóstwo ciekawych a charakterystycznych szczegółów. Niektóre osobistości, jak n. p. Henryk Rzewuski, wyszły z pod pióra autorki nader wykończone i udatne. Czytelnik przebiega kartki z wzrastającą ciekawością, spotykając coraz nowe widoki, czy to w salonie pp. Katarzyny Lewockiej, czy Nakwaskiej, Wojcickich, Maciejowskich, Dworzaczka, Korzeniowskich, Seweryny Pruszakowy i t. d. — a przed oczyma jego jak w latarni czarnoksięzkiej przesuwają się ciągle nowe postacie... P. J. I. Kraszewski jeszcze w przeszłym roku, w Nr. 20 „Tygodnia“ pisał o wydawnictwie p. W.: „Pani P. z L. Wilkońska, autorka tylu miłych i pięknych powieści, wydać ma drukujące się w „Tyg. Wielkop.“ wspomnienia swoje, nadzwyczaj zajmujące, rozszerzone, mające objąć wiele bardzo obrazów współczesnych... które p. Wilkońska tak dobitnie, z takim wdziękiem i delikatnością malować umie. Będzie to niezawodnie jedna z najbardziej zajmujących publikacyj.“

Do rzędu historyczno-belletrystycznych utworów, jakiemi są dwa poprzednie dzieła, zaliczyć również można co dopiero wydane Życie Hieronima Savonaroli, epizod z dziejów Florencyi, opowiedziany przez Klemensa Kanteckiego. Autorowi chodziło o obznajomienie szerszej publiczności z postacią wielkiego reformatora, którego żywot i czyny dostarczyły włoskim, francuskim, niemieckim i angielskim pisarzom wątku do obszernych i gruntownych biografij, u nas zaś tylko bardzo niedokładnie z dzieł obcych są znane. Praca p. K. pod względem dokładności nic nie pozostawia do życzenia; szczegóły z życia Hieronima czerpane ze źródeł pierwszej ręki, mianowicie z współczesnych biografów, przeora Giovanni Francesco Pico della Mirandola i Burlamacchiego; forma zaś lekka i powieściowa, dziwnie nadająca się do burzliwych scen, jakie wówczas we Florencyi się odbywały, i do pełnych dramatycznego efektu losów Savonaroli — czyni to dziełko pożądanem szczególniej dla płci pięknej. Zwracam uwagę czytelników i czytelniczek na przytoczony w końcu piękny list Teofila Lenartowicza, do którego się autor udał po informacyą w sprawie mającego się wystawić dla Savonaroli posągu.

Natrąciwszy już o Lenartowicza, należałoby mi pomówić o świeżo wydanym pierwszym tomie nowych jego poezyj; pewny jednak, że to wasz drezdeński kronikarz nierównie lepiej odemnie uczyni, nie zapuszczając się w ich rozbiór powiem tylko, że poezye te dłużej nawet, aniżeli żąda nieboszczyk Horacy (nonum prematur in annum) spoczywały w tece — tylko nie u autora, lecz u nakładcy, który dopiero po dziesięciu latach namyślił się puścić je w świat. Pan Żupański ma niewątpliwie jako wydawca wielkie zasługi, nie wolno mu przecież, jak sądzę, pomiatać obcą zasługą, i płody takiej sławy autorów, jak Lenartowicz, tak długo trzymać w manuskrypcie.

Jako curiosum chciałbym wam jeszcze opowiedzieć koleje, jakie przechodziła ścigana przez policyą i sądy tutejsze, jedna z najlepszych powieści ludowych, p. t. Drzewo wisielca przez Drogomira Zana (pseudonim), którą po trzech latach wydano wreszcie nakładcy, p. Merzbachowi. Ciekawy ten opis zniewolony przecież jestem odłożyć na czas późniejszy.

Uwinąwszy się wreszcie z nowemi publikacyami, przechodzę do zapisania kilku bieżących faktów; resztę, jak rzecz o teatrze, w którym teraz rozpoczynają na benefisy dawać Szekspirowskie arcydzieła, a 10. b. m. odegrano nadspodziewanie dobrze po raz pierwszy najlepszą tragedyą Słowackiego, p. t. Beatryx Cenci — pozostawiam do przyszłej kroniki. W piątek, dnia 19 b. m. miał na sali bazarowej na dochód ubogich Tow. św. Wincentego à Paulo, p. Tytus Maleszewski prelekcyą, p. t.: O pięknie i Arturze Grottgerze. P. Maleszewski piękniej i kompetentniej, aniżeli ktokolwiek inny mógł mówić o tym przedmiocie, bo ukochał całą duszą sztukę, zdobył sobie wytrwałą pracą najgłębsze jej tajniki, znał osobiście zgasłego przedwcześnie malarza, i z rzadką dokładnością i urokiem słowa podał pełne zajmujących epizodów życie tego genialnego a nieszczęśliwego artysty. Wybitnym punktem pierwszej części odczytu było dobrze umotywowane

oświadczenie się prelegenta przeciw kosmopolitycznemu kierunkowi sztuki. Pisma tutejsze z wielkiemi pochwałami odezwały się o rzeczonym odczycie; dziwi nas tylko, że wbrew zasadom gramatyki pisały kilkakrotnie: „O pięknem“ i t. d. zamiast „O pięknie.“

P. Maleszewski wyświadczył wielkie dobrodziejstwo ubogim miasta Poznania, bo prócz prelekcyi urządził na tenże sam cel wystawę wszystkich swoich i kilku obcych obrazów, stanowiących razem dość poważną liczbę 65. Jest pomiędzy niemi 6 obrazów olejnych, 10 pastel kolorowych, 8 portretów olejnych i 38 pastel czarnych. Aczkolwiek jedyny większy obraz, treści religijnej, przedstawiajacy Wniebowzięcie Matki Boskiej, nie zrobił na nas spodziewanego wrażenia, i ztąd wnosimy, że ten rodzaj malowania nieodpowiedni jest talentowi p. Maleszewskiego, aczkolwiek i malowane z natury kobiety jego pędzla, choć bardzo udatne i świetnie koloryzowane, rażą cokolwiek ciągłem powtarzaniem tychże samych typów — to jednak przepyszne portrety olejne pogodzić muszą każdego z artystą i wywołać dlań słuszne uwielbienie. Prócz własnych umieścił p. M. jeszcze następne obce pracy: 1) Skutki wojny domowej (z czasów komuny r. 1871), wspaniały obraz ogromnych rozmiarów pędzla Gericault'a, słynnego ucznia Vernet'a. 2) Prometeusz w okowach, szkoły bolońskiej. 3) Las Meudon, pędzla p. Capélle. Nie małą senzacyą za i przeciw autorowi wywołał dowcipny feleton Szeligi, w którym znać pióro dawnego Sobótkowego Toujours le même'a — umieszczony w Kurjerze Poznańskim, p. t. Pogawędka z wystawy obrazów.

A propos „Kuryera“, jest to jedyne pismo, jakie z kilku oczekiwanych ujrzało światło dzienne. Jak na początek, zadowalnia czytelników, i cieszy się podobno znaczną liczbą abonentów.

W czwartek, dnia 11 stycznia na walnem zebraniu Towarzystwa przyjaciół nauk, wzbogaconego wspaniałym darem zacnego Seweryna hr. Mielżyńskiego, który kupił dom dla zbiorów Towarzystwa, pozbawionych przez Magistrat przytułku — odczytał sekretarz Tow. p. Hieronim Feldmanowski, treściwą i piękną rozprawę o życiu i pismach ś. p. Aleksandra Przeździeckiego, która prawdopodobnie drukowaną będzie w rocznikach Towarzystwa.

Pewna część obywateli tutejszych po długich naradach, w jakiby sposób należało obchodzić stuletnią rocznicę rozdarcia Polski, uznała za najodpowiedniejsze podjąć zaniedbaną kwestyą oświaty najniższych warstw naszego społeczeństwa, i dla tego zawiązali się w Towarzystwo oświaty ludowej. Tęż samę sprawę poruszył przed niewielu laty ówczesny właściciel dziennika, ś. p. Waligórski; — mamy nadzieję, że Towarzystwo, mając do dyspozycyi składki własnych członków i znaczny fundusz pozostały po Waligórskim, dokona szczęśliwie zamierzonego przedsięwzięcia. K. K.

Drezno w lutym 1872.

(Pomyślny zwrot w literaturze. Nowe publikacye literackie. Reszta pamiętników J. U. Niemcewicza. Czytelnicy w Galicyi. Historya Konia. Albumy pamiątkowe rocznicy 1772 r.)

Rok ten, smutnej pamięci dla nas, nie z tak złemi przychodzi wróżbami, jakby się było można po nim spodziewać. Nie mówię i nie myślę wcale o tej waszej nieszczęsnej rezolucyi galicyjskiej, nad którą się męczycie, pomijam niefortunne nowiny z Rzymu o układach na zagubę języka i narodowości polskiej, nie chcę wiedzieć o urągowisku tych obchodów pruskich rocznicy podziału... bo ona okrywa sromem tych, co ją możliwą osądzili, ale na polu umysłowej i duchowej pracy widzę pocieszające zjawiska. Bądź co bądź, życie nasze całe tu się skupia i tu bije serce narodu. Zdobycze polityczne są mrzonkami, zarobek duchowy rzeczywistością. Za taki poczytuję powszechny w literaturze zwrot ku poważniejszym przedmiotom. W pismach peryodycznych, w wydawnictwach, dążność ku zajęciu się niemi widoczna. Dowodzą jej przybywające dzienniki, jak Niwa, Przyroda i przemysł, nawet Wieniec i Opiekun domowy, dowodzą artykuły w Tygodniku ilustrowanym, w Kłosach, a nawet w Strzesze owa Genezis z Ducha, która rozbudziła wielkie zajęcie w tych, co żadnej genezy nie czytali oddawna. Zapowiadają się przekłady naukowych dzieł niemieckich, angielskich i francuzkich, w formie popularnej przynoszących nam rezultaty ostatnich badań. Jakkolwiek może wszystko to jeszcze słabe, początki są znaczne, kierunek ten wybitny — zaprzeczyć mu niepodobna. W samę więc porę powstaje nareszcie Akademia Umiejętności w Krakowie, jakby dla przodowania na drodze, którą instynkt narodowy oznaczył już i obrał.

Z nowych publikacyj znowu przypomnę szybko kończące się Dzieje Polski przez Teodora Morawskiego, które dają nam w krótkości opracowaną znakomicie treść historyi naszej, ze wskazówką źródeł staranną. W każdym polskim domu, na stole uczącej się młodzieży, w każdej bibliotece dzieło to znajdować się powinno... O Pamiętnikach Niemcewicza, wydanych także przez Żupańskiego, mówilem już. Są to dwa tomy, zawierające zaginiony dziennik od r. 1809 do 1821. Ale na tem nie koniec. Niemcewicz po r. 1831 na wygnaniu dziennik swój przedłużał, aż prawie na kilka dni przed zgonem. Rękopism ten zapisał Towarzystwu historycznemu w Paryżu, a Towarzystwo dozwoliło z niego właściwy uczynić użytek. W chwili, gdy to piszemy, zaczynamy właśnie przygotowywać wydanie tej reszty pamiętników i zajmujemy się ich redakcyą. Może być, że rękopism skrócić nieco przyjdzie, ale niezmiernie to szacowna spuścizna po Ursynie. Obok niego kończymy układ pamiętnika hr. Wawrzyńca Engeströma, posła szwedzkiego w Polsce w czasie Sejmu czteroletniego... przyjaciela Niemcewicza... Nikt żywiej, barwniej i z większą znajomością dyplomatycznych stosunków nie opisał tej epoki. Czytając Engeströma zdajemy się w nią przenosić. Każda z postaci opisana, odmalowana jak żywa, i jednooki Luchesini, i otyły a ociężały Buchholtz, i chory wiecznie na niestrawność Stackelberg, i znaczniejsze domy polskie, i cały ów Sejm, który pruski poseł nazywał — tańcującym. Pamiętnik Engeströma nie ma sobie równego w bogactwie szczegółów i charakterystyce osób... Tłumacząc go i układając, choć kilka razy przeczytaliśmy te karty, oderwać się od nich trudno. Wprawdzie Czackiego nazywa pedantem, a Janowi Potockiemu zarzuca zbytnią chętkę zajmowania sobą całego świata... aleź i poźniej daleko znający go de Maistre w liście swym do hr. Jana czyni mu uwagę: Monsieur le Comte, quand on est un Potocki — on ne casse pas les vitres. Jan w istocie trochę lubił tłuc szyby... Był to jednak znakomicie uorganizowany umysł i zdolność nie powszednia. Mamy

przed sobą rękopism własny onego sławnego Manuscrit trouvé a Saragosse. Jaka to była pisania łatwość i fantazya skrzydlata.

Wiecie zapewnie o wyszłym pierwszym tomie poezyj Lenartowicza — Echa nadwiślańskie, więc tylko je przypomnę. W Poznaniu także wyszedł Żywot Savonaroli, rzecz wyborna, a tak dziś na czasie, o której gdzieindziej obszerniej się rozwiodę, a tu go tylko gorąco czytelnikom polecam; wyszły wreszcie miłe Wspomnienia pani P. Wilkońskiej. W Paryżu gotuje Mickiewicz dalszy ciąg ojcowskich pism, na które—i ja to zapisać muszę, miał w Galicyi ośmiu prenumeratów. Tych ośmiu ludzi dajcie nam proszę imiona! Ośmiu na miliony... zażądało dopełnić sobie Mickiewicza! — W królestwie pisma A. Fredry rozeszły się blizko w 10,000 egzemplarzy. Znamy tam domy, nie będące wcale wyjątkowemi, które po piętnaście pism peryodycznych polskich ambonują. W cywilizowanych Prusach zachodnich za to nie ma prawie jednego, gdzieby niemieckiej gazety i to z rodzaju tych, co na nas bluzgają najszkaradniej — nie było. Gdybyśmy też w Galicyi mogli zrobić rewizyą i poszukiwanie wszystkich Press wiedeńskich... coby się ich tam znalazło. Ręczę, że więcej niż ośm.

Wspomniałem pisząc do kraju o rękopiśmie, który miałem zręczność oglądać, a któremu życzę, by się co najprędzej mógł na świat ukazać. Jestto historya Konia, od przedpotowych czasów do dni dzisiejszych... historya, w której nasz koń, nasze koniarstwo, nasza literatura końska i przysłowia i obyczaje... nie są pominięte... lecz owszem z ogromną erudycyą i życiem obrobione... Zdaje mi się, że w kraju, którego dzieci zrastały się z koniem od lat najmłodszych, taka monografia musiałaby mieć wielkie powodzenie. Wszak ci to nieśmiertelny Skarga wyrzucając zbytnie zamiłowanie w koniach Polakom — wyrzekł z ambony te słowa: Wam, wam... milszy jest syn kobyli niż syn Boski! — Ta żyłka i miłość do koni pozostała w nas i żyje do dziśdnia... Wydawca tej prześlicznie napisanej historyi, miałby więc pewnie więcej w Galicyi prenumeratów niż — ośmiu!

Albumy pamiątkowe rocznicy 1772 roku się mnożą; najpierwszego, co się już ukazał Nowoleckiego, jeszcze nie znamy; drugi zapowiadający się, a obiecujący wiele współpracownictwem wszystkich niemal celniejszych pisarzy naszych, będzie hr. Platera, Rapperswylski; trzeci Redakcyi Tygodnika Wielkopolskiego, który już licznych ma abonentów w Poznańskiem, równie obiecujący; czwarty zamyśla w Genewie ogłosić ziomek nasz p. Józef Braun litograf, znany z pięknych wydań malowniczych (między innemi z Ruin Strassburga). Lecz nadewszystko czyby w r. 1872 nie należało ogłosić Rachunku sumienia narodowego z lat stu? rachunku naszych omyłek, błędów, grzechów i zapomnień. Przyznajemy się, iż myśl ta ciągnęła nas ku sobie, nie powiemy, co pióro wytrąciło z ręki...

Zdajemy to chętnie na innych...

Z dzieł sztuki mało co zupełnie nowego a znakomitego. Wielki obraz Matejki, na który oczekujemy z gorączkową niecierpliwością, dotąd jeszcze nie skończony...

Mógłżebym list zamknąć i nie zapisać w Strzesze choć słowa ku pamięci pracownika, jakim był Alexander Przeździecki? Pokój tej duszy zacnej, i cześć zasłudze. Długo na godnego zastępcę poczekamy... Może to był ostatni, co i grosz i pracę i spokój i nie jednę boleść tajemną, złożył w ofierze na ołtarzu — obywatelskiego obowiązku...

J. I. Kraszewski.

Ze Świata.

(Do historyi teatru.) Nie było pewno na świecie sceny prostszej niż Szekspira, ale też i publiczności tak rubasznej, jak jego, nie widziano nigdzie. My nie możemy mieć dzisiaj nawet wyobrażenia o tem, i chyba cień tego można zobaczyć jeszcze po teatrach przedmiejskich i letnich w wielkich miastach europejskich. Krótko mówiąc, teatr Szekspira mało co różnił się od knajpy; palono w nim fajki, jedzono i pito, a w letnim teatrze jego, zwanym „Globe“, rzucali widzowie na siebie ogryzkami z jabłek i łupami z orzechów, a panowie ówcześni, tak zwani kawalerowie, siedzieli lub leżeli poprostu na scenie. Damy nie chodziły wtedy wcale do teatru, i dopiero znacznie poźniej, mianowicie przy końcu 17go wieku, zaczęły bywać na przedstawieniach, ale w maskach. Do tego czasu nie grywały też kobiety na scenie; nie było żadnych aktorek, a role ich odgrywali chłopcy i młodzi mężczyźni. Jeszcze za Karola II. zdarzyło się raz na przedstawieniu dramatu Szekspira, że dyrektor przepraszając króla, zniecierpliwionego długiem czekaniem na rozpoczęcie widowiska, usprawiedliwiał się tem, iż królowa nie była jeszcze ogolona. Aktorki i dekoracye przybyły dopiero w 18 wieku z Francyi, a mianowicie z Paryża. I tam także mieli młodzi eleganci miejsca swoje na scenie, i nieraz przeszkadzali aktorom swojemi uwagami. Pewnego dnia grał aktor, imieniem Beaubourg, odznaczający się nadzwyczajną szpetnością, rolę Mitridata, i sławna Adryanna Lecouvrer mówiła do niego w pewnej scenie, jako Monime; „A mój panie, pan się mienisz!“ — Wówczas zaczęli panowie, siedzący na scenie, śmiać się na cały głos, i jeden z nich zawołał: „Daj mu pani pokój, to mu nic nie zaszkodzi!“ Ta manifestacya na scenie była jednak ostatnią, gdyż w r. 1759 kupił hr. Laraguais za znaczną sumę prawo zasiadania na scenie od tych, którzy je posiadali, i odtąd przestała już publiczność w Paryżu, a wkrótce także i w Londynie zasiadać na scenie.

Geniusz dramatyczny nie potrzebował w pierwotnym stanie świeżości swej złudzeń dekoracyjnych; dokładność kulisy, przepych kostiumu i bogactwo wystawy oznaczają upadek poezyi. Tak było za panowania cesarzów w Rzymie, gdzie w tetrze bawiono się tylko wrzawą wojenną i ewolucyami floty; tak jest dziś poniekąd w Londynie, a bardziej jeszcze w Paryżu, gdzie w niektórych teatrach prawie nic już nie mówią, tylko tańczą, jeżdżą i przedstawiają żywe obrazy. Mimowolnie przypominają nam się tu słowa Voltaira, który zapytany przez Diderota, czy wypada wprowadzać szubienicę na scenę, odpowiedział: „Strzeżcie się, gdyż w krótce zażądają od was także wisielca!“

(Uroczystość noworoczna w Japonii) przedstawia szczególniejszą mieszaninę głębokiej powagi z naiwnością a nawet śmiesznością. Lud japoński jest bardzo wesoły i lubi nadewszystko huczną zabawę. Toteż przez cały tydzień noworoczny odbywają się tam rozmaite publiczne zabawy i igrzyska, w których wszyscy biorą udział, bogaci i ubodzy, młodzież i starce. Domy są wewnątrz i zewnątrz ozdobione festonami ze słomy ryżowej, choiny i czerwonych jagód leśnych; po ulicach popisują się muzykanci, kuglarze i tancerze. Jedną z najulubieńszych zabaw jest tak zwana „walka orłów.“ Oto zebrani w otwartem miejscu miłośnicy tego igrzyska wypuszczają w powietrze mnóstwo dużych orłów papierowych, przedstawiających najdziwaczniejsze figury, jak n. p. żórawie, papugi, ludzie z motylowemi skrzydłami, głowy bożków lub sławnych bohaterów i t. p., a każdy z nich opatrzony jest w przyrządzoną trzcinę bambusową, która za powiewem wiatru wydaje szczególny ton, tak że w czasie tego igrzyska brzmi w powietrzu dokoła czarowna muzyka, podobna do dźwięków arfy eolskiej. Prócz tego są sznurki, na których bujają orły, opatrzone pstremi, ostremi szkiełkami. Gdy tedy zetknie się ze sobą kilka takich dźwięcznych żeglarzy napowietrznych, przecinają owe szkiełka sznurek tego lub owego, i pokonany tym sposobem zapaśnik spada śród okrzyków zwycięzców na ziemię. Najchętniej biorą udział w tej walce narzeczeni, i ma to być dobrym znakiem, jeźli zwycięży orzel narzeczonej. W wilią nowego roku kąpie się całe miasto w morzu światła. Tysiące różnobarwnych latarni, niezliczone transparenta jaśnieją śród zielonych gałęzi i festonów; każdy dom musi być ozdobiony kwiatami. W nocy płoną oprócz tego na dziedzińcu każdego zamożniejszego domu w stojących na ziemi czarkach ognie, podsycane wiorami skrapianemi święconą wodą, a o północy obserwują właściciele kształt, barwę i migot tych płomieni i wróżą z nich szczęście lub nieszczęście w przyszłym roku. Również odbywa się o północy wypędzanie złych duchów z domu. Właściciel przywdziewa wtedy najlepsze suknie, uzbraja się, bierze pełną garść suszonego bobu, i chodząc po całym domu rzuca ten bób na ziemię i wykrzykuje przytem ciągle: „Precz złe duchy! Wnijdź bogactwo!“ W sam dzień nowego roku zrana składają sobie krewni i przyjaciele nawzajem życzenia i podarunki. Są to zwyczajnie kawałeczki suszonego mięsa z jakiejś muszli, wino ryżowe, pomarańcze, i wreszcie mniej więcej kosztowne wachlarze. Wszystkie te podarki mają swoje znaczenie, i doręczenie ich odbywa się z większemi ceromoniami, niż naszych bezdusznych biletów noworocznych.

(Zorza północna.) Dnia 5. lutego zaraz po zachodzie słońca pokazała się u nas na północnej stronie nieba zorza północna. Purporowy jej szlak posuwał się ku zachodowi coraz szerszym pasem, a na jego tle tryskały białe promienie magnetycznego światła, tworząc kolumny, łuki i wreszcie w około zaczerwienionych obłoków jakby morze niebiesko-białawego światła, od którego na horyzoncie widno było jak w godzinach przedpoirannych. Burza magnetyczna u bieguna, która wedle hipotezy Humboldta ma być przyczyną zjawiska zorzy północnej, silną być musiala, kiedy różnokolorowe jej światło objęło w godzinę potem wszystkie strony horyzontu i zapaiiło cały strop niebieski, jakby wielkim pożarem. Gwiazdy, jak zwykle przy północnej zorzy, iskrzyły się świetniejszem światłem. Wiatr zimny północno-wschodni, który wiał przez cały dzień, pod wieczór prawie zupełnie ustał i mróz dla tej przyczyny dawał się uczuć. Wspaniałe zjawisko tej zorzy północnej, od którego więcej i szerzej grającego światłem, nie widzieliśmy w naszym kraju, trwało wiele godzin, dopiero poźno po północy ostatnie blaski zagasły, rodząc jak zwykle pomiędzy ludem przepowiednie wojny i krwi rozlewu. Przepowiednie te powinnyby jednak ustać, zorza północna bowiem od pewnego czasu coraz pospolitszem na naszem niebie jest zjawiskiem. Zaprzeszłego roku w czasie wojny francuzkiej świeciła także skłonnym do łączenia niebieskich zjawisk z losami ludzkiemi tłumom.

(Strach ma wielkie oczy.) Indyanie w południowej Ameryce mają wielki respekt dla telegrafu, i żaden z nich nie poważyłby się go uszkodzić. Przyczyna zaś tego jest następująca: Gdy pale były już wbite i drut naciągnięty, znajdowało się w obozie wojska chilijskiego do 50 jeńców indyańskich. Jenerał Pinter obawiając się, ażeby to dzieło cywilizacyi nie zostało zniszczone, zwołał owych jeńców indyańskich i ustawił przed nimi bateryą elektryczną. — „Czy widzicie ten drut, który jest tu naciągnięty?“ — spytał ich. — „Widzimy jenerale.“ — „Dobrze; otóż wiedzcie o tem, że kazałem go zrobić na to, żeby żaden z was ani się go nie dotknął, ani też nie próbował uciekać popod niego, gdyż zaraz chwyci go za ręce.“ Indyanie śmieli się i nie wierzyli temu. Wtedy jenerał biorąc jednego po drugim, dawał mu do rąk końce druta od bateryi i wprowadzał ją w działanie. — „Wypuść teraz drut z ręki!“ — wołał. — „Nie mogę, panie“ — krzyczał Indyanin — „bo ręce moje jakby przyrosły.“ I dopiero po wstrzymaniu prądu elektrycznego mógł otworzyć ręce. Tę próbę musiał odbyć każdy Indyanin. A gdy potem jenerał puszczał ich na wolność, zalecił im surowo, ażeby zachowali to w tajemnicy i nie mówili nic swoim rodakom. Rozumie się jednak, że o tej tajemnicy dowiedzieli się wnet wszyscy Indyanie, i ona to ochrania tamtejsze telegrafy od wszelkiego uszkodzenia.

(Powiastka wschodnia.) Pewnego razu zeszło się u źródła na puszczy trzech podróżnych. Jeden z nich był artystą, drugi starzec o poważnem obliczu, a trzeci młodzian, szukający zbłąkanego jagnięcia. Na jednej z płyt krynicznych znajdował się stary, zwietrzały już napis: „Bierzcie wzór ze mnie.“ Spoczywając przy źródle rozmawiali podróżni o znaczeniu tego napisu.

— To źródło — ozwał się artysta — przebiega rozległą dolinę, płynie przez jeziora, zabiera liczne ruczaje i strumienie, i staje się w końcu samo wielką rzeką. Ten napis uczy nas tedy, że powinniśmy bez ustanku pracować, ażeby się zbogacić.

— Ja — odparł starzec — widzę inne znaczenie w tym napisie. To źródło pokrzepia szczodrze każdego, kto się doń zbliży. Jego przykład więc upomina nas, ażebyśmy się starali być pożytecznymi bliźnim.

Młodzian przysłuchiwał się w milczeniu; gdy jednak spytano go o zdanie, odrzekł bez namysłu: „Woda źródłowa nie ma żadnej wartości, jeźli nie jest czysta. Mętna staje się obrzydliwą, i nawet zwierzę nią pogardza. Jeźli więc chcesz być szanowanym, bądź czystym!

Kącik humorystyczny „Strzechy.“

Dowcipne dzieci.

(Legenda).

Do ziemskich raz niebożąt
Tak mówił Stwórca-Pan:
„Poruczam wam samorząd,
„Jaw cały jest wam zdan!

„Ufać wam mogę przecie:
„Swe lata ma już człek,
„Niech myśli sam o świecie,
„Ja spocznę, mdli mię wiek...“

Rzekł — i znikł w ćmie chaosu...
Zaczął się czasu nów,
A świat jął szukać losu
Według swych serc i głów.

Minęły wieków wieki,
Aż znów pewnego dnia
Spuściła się z powieki
Pańskiej chaosu ćma.

Spojrzy wszechmocne oko:
Ledwo poznaje świat!

Daleko i szeroko
Inny tam jakiś ład...

I słychać wielkie gwary,
I widać ludzi rój,
Dziwi się Stwórca stary:
„Może to świat nie mój?

„Ile przypomnieć mogę,
„Stworzyłem lądów trzy,
„Afryk opierał nogę
„O mas azyackich kry —

„Ano się nurza cały
„Jako osobny ląd
„W oceanowe wały,
„Ląd czwarty? a to zkąd?

„Czy ludzkie widzimisię,
„Zmieniło tak mój twór,
„Że w dawnym już zarysie
„Dziś mórz nie widzę, gór?

„Tam co! nie z góry na dół,
„Lecz po pod Alpów grzbiet
„Rznie Włoch na Francyi padół
„Chcący się dostać wnet?

„Ba! nawet kwiaty nowe,
„I zwierząt nowy chów...
„Prześcignąć mię gotowe
„Wymysły ludzkich głów!

„Ej ej, już widzę, widzę,
Że ten wszechmocy płód
Nie skrewił swej łodydze:
Kość z kości mój to ród!

„Dowcipne moje dziatki! —
„Gdy dam tak światu trwać,
„To stworzą własne światki
„I mnie nie zechcą znać..

B. Komorowski.

Z nowożytnych światów.

Pieśń miłości.

I.

Choć dziewiętnasty mamy wiek,
Nie ustał starych uczuć bieg;
Nie brak słowików w róż szpalerach,
Nie zbywa też na bohaterach —
Choć dziewiętnasty mamy wiek!

Taż sama scena: piękny świat,
Też same świadki: gwiazda, kwiat,
Ciż sami zawsze „luba — luby“
Wznawiają ciągle stare śluby...
Taż sama scena: piękny świat!

Bo wiecznie brzmi miłości rym,
I wiecznie „On z Nią“ — „Ona z Nim“,
I wiecznie słyszą gwiazdy złote
Słowików pieśń — i serc tęsknotę.
Bo wiecznie brzmi miłości rym!

II.

„Kochanko moja, nie chcę nic
Prócz twego serca, twoich lic,
Gdy miłość w oczach twoich czytam,
Ja o nic więcej już nie pytam,
Kochanko moja! nie chcę nic.

„O ziemię całą ani dbam,
Gdy miła! ciebie, ciebie mam.
Ubogim rozdaj swe szelągi,
My bądźmy sobą — dwa posągi,
O ziemię całą ani dbam!

„Niech miłość święci tryumf! niech
Swych idealnych broni cech!
Niech formalności i skropuły
Nie mrożą tej różyczki czułej,
Niech miłość święci tryumf! niech!..“

III.

„Ojcze! nie bierzż ci dość już
Ją biorąc? tę najlepszą z dusz!
Mowa twa, ojcze o posagu,
Sprawia wrażenie sarkofagu —
Ojcze, nie bierzż ci dość już?

„O jedno błagam: oszczędź prób,
W ostatki niechaj będzie ślub,
W niedzielę pierwsze zapowiedzi
Niech wiedzą krewni i sąsiedzi —
O jedno błagam: oszczędź prób!

„Nic zresztą zgoła nie mam w tem,
By ślub się odbył milczkiem, dniem,
I owszem, niech nam, choć niemodnie,
Hymenu jasne skrzą pochodnie,
Nic zresztą zgoła nie mam w tem...“

IV.

„O milę ledwie mieszka ztąd,
Już być powinien, choć przez wzgląd
Na pannę młodą i rodzica,
Sproszona cała okolica!
O milę ledwie mieszka ztąd!“

„„Coś mu musiało wypaść, wiem,
Ojczulku, nie płać dobre złem
Sądząc, że zmienić mógł zamiary...
O, pewna jestem jego wiary!
Coś mu musiało wypaść, wiem.

„„Przypuszczę raczej, że w tym dniu
Za wcześnie zaszło słońce tu —
Przypuszczę wszystko... święty Boże,
Słyszę pospieszny krok na dworze,
Przypuszczę raczej, że w tym dniu...““

V.

„Czy z ojcem panny młodej mam
Przyjemność?“ — „„Służę, tak, ja sam.““,
— „Pan młody, godów tych nadzieja,
Szle mię do pana dobrodzieja —
Czy z ojcem panny młodej mam...“

„„Chory!““ — „Przeciwnie, zdrów jak rydz,
Nie trzeba się obawiać nic,
A zakochany! oczywista,
Bo też on jest idealista!
Chory? przeciwnie, zdrów jak rydz!

„Nic, nic tak złego — całkiem zdrów,
Lecz teraz z tatkiem parę słów:
Racz ten rewersik (nie tak wiele)
Podpisać, chcesz-li mieć wesele!
Nic, nic tak złego — całkiem zdrów...“

B. Komorowski.

Anegdoty «Kącika.»

W pewnem wesołem towarzystwie znajdował się p. K. lekarz homeopata, wielki miłośnik kart, i również wielki zwolennik nauki Hannemana, którego z tego powodu, o ile że był w dyspucie nader gorącym, obierano sobie często za cel wesołych dowcipów.

Dnia tego właśnie przy kieliszkach był nasz lekarz — jak to mówią — branym na fundusz potężnie, z powodu twierdzeń swych, iż homeopatya posiada niezawodne lekarstwa nie tylko na wszystkie słabości, ale nawet i na wszystkie uczucia i namiętności ludzkie.

Po gorącej a ze strony lekarza namiętnej nawet dyspucie zabrano się do kart, a że towarzystwo było licznem, przeto nakryto kilka stolików, przy których wnet obojętne wszczęły się rozmowy.

— Którędyś jechał? — spytał ktoś swego towarzysza przy jednym z stojących nieco dalej stolików.

— Na Zazdrość — ozwie się zagadniony.

— I na to mamy lekarstwo, i na to mamy lekarstwo — krzyknie zaperzony lekarz, dosłyszawszy tylko końca tej rozprawy.

Ogólny wybuch śmiechu przywitał słowa Homeopaty, który coraz się bardziej zapalając po niejakiej dopiero chwili dał się przekonać, że lekarstwa jego byłyby tutaj bezskutecznemi, owa bowiem pacyentka, którą Eskulap nasz gwałtem chciał z zazdrości wyleczyć, była to po prostu karczma na trakcie stojąca, i przez właściciela swego, z powodu procesu z sąsiadem „Zazdrość“ nazwana.



W muzeum sztuk pięknych.

— To niesłychane, doprawdy! W którą stronę spojrzysz sami *Pinx'y*... Ot: Rafael *Pinx!* — Coreggio *Pinx!* — a tutaj jakiś znowu Domenichino *Pinx!* — Olbrzymia musiała być rodzina tych *Pinxów!*

— I gdzieś malarzami byli wszyscy! — Strach!

Poznańskiemu „Tygodnikowi Katolickiemu.“

Kraszewski pisze „Strzesze“ z Wenecyi artykuł,
A tyś wnet z niego „Diabła weneckiego“ wykuł;
Racz więc w Szajnosze*) śledzić te dzieje szatańskie,
A ujrzysz, że siedzibą jego jest — Poznańskie...

Jeden z ochrzczonych redaktorów żydowskiej „Strzechy.“

*) Patrz: Szkice historyczne“ — tom IV.

Wydawca i odpowiedz. za redakcyą F. H. RICHTER

Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.